№ 24. Warszawa, dnia 15 (3) Czerwca 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Wraz z ostatnimi arkuszami **Antropologii** Tylora rozpoczniemy w następnym (wrześniowym) dodatku do **Prawdy** przekład

HISTORYI REWOLUCYI FRANCUSKIEJ

M. MIGNETA.

Książka ta, przedstawiająca okres dziejów od r. 1789 do 1814, kończy się na granicy epoki, od której rozpoczyna się wydana przez nas w roku zeszłym **Historya wieku XIX.** Dla czytelników więc naszych będzie ona stanowiła pożądaną łączność z tem dziełem i da im sposobność szczegółowego rozpatrzenia się w wielkim dramacie historycznym, którego setną rocznicę obchodzi obecnie Francya.

Szan. abonentów półrocznych i kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty na **Prawdę**.

POLITYKA.

CIEŃ MĘCZENNIKA.

Roku 1548 Italia urodziła syna, którego los miał być losem liścia pędzanego przez wichry po świecie, którego umysł miał oddziałać podniecająco na długie szeregi pokoleń, którego krew miała obryzgać tron papieski nigdy niezmytą plamą, którego śmierć wreszcie miała w trzysta kilkadziesiąt lat posłużyć za oręż do walki politycznej. Jordan Bruno, zostawszy dominikaninem, poczuł, że wlazł w obcą jego naturze i palącą skórę; zrzucił ją więc i rozpoczął tułaczą wędrówkę po rozmaitych miastach włoskich, a następnie zachodnio-europejskich. Jak jeleń, ścigany przez ogary Inkwizycyi, przelatywał szybko z Genui do Wenecyi, Genewy, Lionu, Tuluzy, Paryża, Oksfordu, Londynu, Zurichu, aż wreszcie osaczony i schwytany w Wenecyi, odstawiony został do Rzymu. Tu, gdy siedmioletniem więzieniem nie zdołano na nim wymusić odwołania „błędów," Inkwizycya potępiła go i wydała „zwierzchności świeckiej z prośbą o możliwie łagodne ukaranie bez rozlewu krwi," co—według tej przewrotnej formuły— znaczyło spalenie na stosie. Zginął też tą męczeńską śmiercią za swe przekonania w r. 1600 *). I czegoż mu kazano się wyprzeć? Naprzód nauki Kopernika (uznanej potem za „fałszywą"), którą on rozszerzył i uzupełnił. Według niego wszechświat jest nieskończonym w czasie i przestrzeni, a nasz system słoneczny — jednym z wielu, które obok niego istnieją. Duszę i pierwszą przyczynę tego wszechświata stanowi Bóg. Nieskończony eter, wypełniający nieskończoną przestrzeń, zawiera w sobie cel wszelkiego rozwoju, nasiona wszech rzeczy, które wyłania z siebie według stałych praw. Pierwiastkami bytu, które nie powstają i nie giną, tylko się łączą i rozłączają, są *minima* czyli *monady*. Taką monadą jest dusza, równie nieśmiertelna, jak ciało niezniszczalne (w swej pramateryi).

Nie tu miejsce na szczegółowy wykład teoryi myśliciela włoskiego i ocenę jej znaczenia w historyi filozofii. Zaznaczyliśmy tylko główne jej punkty, te właśnie, które najmocniej podrażniły krwiożerczość siepaczy. Męczennictwo Bruna, zniesione przez niego z wyjątkową godnością a przygotowane i wykonane przez trybunał inkwizycyjny z dzikiem okrucieństwem, nie po raz pierwszy służy włochom za grot przeciwko Watykanowi. Przed 25 laty zjednoczona Italia uczciła swego syna statuą w Neapolu, przed którą studenci spalili publicznie encyklikę. Pewien plugawiec, który za mizerny tytulik służby papieskiej w korespondencyach z Rzymu do *Gazety warszawskiej* znieważa wszystkich i wszystko, co jego panu humor psuje, który pełnemi obelg ustami plunął w prochy męczennika, który prześcigając pachołków watykańskich w bezczelności, nazwał go: „rozpustnikiem, sodomitą, hultajem," niepomny własnego brutalstwa, wyrzuca włochom, że zapomnieli o „względach delikatności, dobrego wychowania i tonu," odsłaniając uroczyście pomnik Bruna w tem samem mieście, w którem on został spalony i przed progiem tej samej instytucyi, która go zamordowała. Rzeczywiście w takiem głośnem przypomnieniu sromotnej ofiary brak „delikatności." Ale brakło jej również, na kongresach katolickich w Portugalii, Belgii i Austryi, gdzie spiskowano przeciwko zjednoczeniu Włoch i ich rządowi. Jak krzykniesz w las, tak ci echo odpowie, a kąt odbicia jest równy kątowi padania. Watykan, który sprowadziłby turków do swego kraju, gdyby tylko z ich pomocą spodziewał się odzyskać władzę świecką papieża, który pracuje niezmordowanie nad mnożeniem nieprzyjaciół za granicą dla swej ojczyzny, który buntuje naród przeciw rządowi, który zrył go podkopami i intrygami— stracił wszelkie prawo do „delikatnego" z nim postępowania. Jest to zjawiskiem bardzo smutnem, że cień wielkiego męczennika użyty został za straszydło w kłótni, że wystawiony mu pomnik nie jest wyrazem hołdu, ale orężem walki, trudno wszakże dziwić się Crispiemu, że tą bronią groźnego przeciwnika ugodził. A zranił go głęboko. Pomimo Zielonych świątek papież kazał zamknąć kościoły a potem odprawić w nich

*) Szczegóły znaleźć można w wydanej przez nas książce p. t. *Męczennicy myśli*.

nabożeństwa „naprawcze," które mają zmyć z Rzymu hańbę, jaka nań spadła od owego pomnika. Za tym objawem gniewu pójdą okólniki „dyplomatyczne," encykliki, listy pasterskie, przemówienia na konsystorzu i cały ten niezliczony grad daremnych protestów, którym Watykan zasypuje ziemię i chce nim zniszczyć plony kultury nowożytnej. *Vana ira!* Nawet najodleglejsza podobizna czasów, w których gwałcono Galileusza i palono Bruna już nigdy nie wróci. I tak dość ofiary robi ze swych przekonań wiek obecny, że jeszcze tych puszczykowych hukań słucha.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Śmiałym często los sprzyja. Gdy rząd serbski rozdarł jednostronnie umowę z kapitalistami i zabrał koleje, uderzono na gwałt w Izbie francuskiej i wniesiono interpelacyę, a prasa, robiąca wojnę, zaczęła wróżyć „powikłania." Tymczasem zatarg rozwiązuje się bardzo gładko. Francuzi umyli ręce, obliczywszy, że posiadają tylko drobną część akcyj, reszta zaś znajduje się w rękach włoskich i niemieckich. Właściwie żaden rząd niema wielkiej chęci adwokatowania w tej sprawie, bo ona jest rzetelnie brudną i plamiącą panowanie Milana. Wydał on bowiem kraj na łup pijawkom, które wyssały zeń krew i pozostawiły w zupełnem wycieńczeniu. Warunki budowy i wyzyskiwania kolei serbskich były tak okropne, że biedny naród, obciążony nadmiernym długiem państwowym, nie mógł ich wytrzymać nadal. Pozostało mu więc tylko, albo poddać się zupełnej ruinie, albo zrzucić sobie lichwiarza z karku. Zrobił to ostatnie.

Metropolita Michał objął swoje stanowisko, z którego Teodozyusz ustąpił. Poddali się również tej konieczności i inni biskupi.

Podobno ostatni połów na dowody oskarżające Boulangera był bardzo obfity, zebrano bowiem 30,000 pisanych do niego listów, które pozwalają ogarnąć cały obszar spisku i wykryć jego uczestników. Po tym połowie nastąpiły aresztowania wielu osób. Bulanżyści zrobili w Angoulême awanturę, która wpędziła kilku hersztów, a między nimi posłów, do kozy. Minister spraw wewnętrznych oświadczył podobno, że już wyczerpał ostatnie krople cierpliwości i że surowo będzie tępił wszelkie objawy buntu. Rzeczywiście przyznać mu trzeba, że dotąd okazuje względem bulanżyzmu energię, na którą jego poprzednicy zdobyć się nie mogli. Co prawda silnie na nią oddziaływa strach, ażeby zamieszki nie popsuły interesów wystawie.

Ferry wygłosił wielką mowę (z powodu budżetu wyznań), w której rozwinął sztandar oportunizmu, mocno poszarpany przez przeciwników.

Obrady berlińskie w sprawie wysp Samoa już się zakończyły — jak słychać — niezbyt zgodnie. Amerykanie bowiem nie chcieli się zgodzić na wynagrodzenie niemców za szkody poniesione w napadzie samoańczyków. Być może, iż rząd Stanów Zjednoczonych okaże się uleglejszym, niż jego pełnomocnicy.

Na seryo tedy Niemcy postanowiły wypowiedzieć wojnę (pokojową) Szwajcaryi za obrazę swego szpiega Wohlgemutha, którego ona nie chce przeprosić. Ma być odwołany z Bernu ich przedstawiciel i zastosowane jakieś „represalia" graniczne, prościej mówiąc — jakieś szykany i mizerne dokuczliwości, na które obecnie rozprysł się polityczny geniusz ks. Bismarka.

Szach perski bawi w Berlinie i ogląda codzień wojsko, które mu cesarz pokazuje. Wkrótce Nasr-ed-din wyjeżdża do Wiednia.

W Belgii zapanowało ukropowe wrzenie. Po wykryciu nadużyć obecnego gabinetu klerykalnego, który poniżał się aż do „wohlgemutyzmu," stronnictwo postępowe zaczyna odzyskiwać przewagę i wkrótce zapewne zdobędzie utracony ster rządów. Ostatnie wybory wypadły na korzyść liberałów.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZE ŚWIATA.

IV.

W sam dzień Zielonych Świąt odsłonięto w Rzymie długo oczekiwany pomnik Giordana Bruno, a uroczystość ta wskutek wielu okoliczności stała się zdarzeniem epokowem dla dziejów Nowych Włoch. Doniosłość jej raczej niedocenić można, niż przecenić; wielka powaga i spokój, z jakim zebrane z różnych żywiołów tłumy dopełniły tego aktu, dowiodły, że nie była to igraszka żądnego nowości wielkomiejskiego pospólstwa, ale wyraz przeświadczenia, że demonstracya ta obok protestu będzie stanowić hasło do nowych społecznych ruchów. Wskazał je, brutalnie nawet, prof. Haeckel w liście przesłanym z Jeny „komitetom uniwersyteckim, zgromadzonym dla uczczenia pomnika Giordana Bruno." Nie można rzec, aby odznaczało się wielkim taktem zakończenie tego listu, zważywszy, że słowa znakomitego badacza, wygłoszone niejako urzędownie i *ex cathedra*, mają pretensyę do charakteru programowego; w każdym razie cytujemy ten list przed opisem samej uroczystości, bo w nim mimochodem wyłożone są teorye nolańczyka.

„Minęły trzy wieki, odkąd Giordano Bruno wygłosił nieustraszenie podstawowe zasady naszego nowożytnego panteizmu. Wedle jego nauki nierozdzielna łączność Boga i świata, ducha i ciała, formy i materyi istnieje od wieków.

W naturze powstają byty nie przez ustawiczne składanie i tworzenie, ale przez wewnętrzny rozwój i różniczkowanie. Goethe, którego ogólne pojęcie świata jest równe pojęciom Bruno i Spinozy, wyraża tak zasadniczą myśl nolańczyka: materya nie może istnieć i działać bez ducha, ani duch bez materyi.

Równie sławna teorya monad, którą wyłożył i rozwinął Leibnitz, równa się z nauką atomistyczną Bruna; według niej żywiołowe cząstki materyi (atomy Demokryta) nie są ciałami martwemi, sztucznie spajanemi, ale istotami żywemi, obdarzonemi siłą duchową, posiadającemi wolę i uczucie: ich przyciąganie i odpychanie jest wynikiem ich wzajemnej skłonności czy wstrętu.

„Jeden duch — mówi Bruno — żyje we wszystkich istotach i żadna cząsteczka natury nie jest tak drobna, aby nie zawierała ożywczego atomu boskiej substancyi."

Te zasadnicze i niewzruszone twierdzenia naszej nowożytnej filozofii monistycznej znalazły się wypowiedziane jasno pierwszy raz ustami G. B...

Księga 6 Fizyologii ludzkiej Müllera (profesora naturalisty berlińskiego) mówi o życiu duchowem, a pierwszy jej rozdział wykłada stosunek między duchem, organizacyą i materyą.

Müller twierdzi, że wszystkie odmienne zdania, dotyczące tego bardzo trudnego problemu, rozdzielają się na dwa przeciwległe systemy kosmologiczne: jeden

---

2)

Ostatnie dni Shelleya

przez

P. Bourgeta.

Tymczasem upływały dni Shelleyowi, marzącemu w samotności, gdy naraz zjawia się postać opromieniona burzliwą i rozgłośną chwałą, twórca *Manfreda* i *Korsarza*, sławny o tyle, o ile nieznanym był Shelley, dziś właśnie o tyle ubóstwiany w Anglii, o ile tamten został w niej zdyskredytowanym. Lord Byron przybywa do Pizy pod koniec 1821 roku i zamieszkuje w pałacu zbudowanym, jak twierdzą, według planów Michała Anioła, a który nazywano wówczas pałacem Lanfranchi. Jest to dzisiejszy pałac Toscaneli; podróżnik widząc go ozdobionym nowymi meblami z okazałością wielkiego domu nowo-włoskiego, musi się uśmiechnąć, odtwarzając w wyobraźni kontrast, zachodzący pomiędzy tem urządzeniem prawidłowem, a tem, jakie wprowadził wszędzie z sobą Byron. Poeta miał między innemi i tę manię, że nigdy nic sprzedał, ani też nie porzucił niczego, co raz nabył; ponieważ zaś od czasu do czasu dogadzał swemu kaprysowi skupowania pięknych i rzadkich zwierząt, powstała więc u niego prawdziwa menażerya. W liście pisanym z Rawenny do żony wyszczególnia Shelley ten zbiór: dziesięć koni, osiem ogromnych psów, pięć kotów, orzeł, kruk, sokół, pięć pawiów, kura z Gwinei, żoraw z Egiptu, dwie małpy, a „wszystkie te zwierzęta — dodaje — z wyjątkiem koni, wałęsają się po pokojach i schodach z najzupełniejszą swobodą," a dalej: „istny to pałac Circe." Do tych domowników dołączyć należy poetów, jak Moore i Shelley; awanturników, jak Trelawny, spiskowców wszelkich narodowości, a na czele owego koła hrabinę Guiccioli, tę „piękną, tkliwą i pełną prostoty włoszkę" — jak ją nazywa Shelley. Wyobraźmy sobie najróżnorodniejszą plątaninę rozpraw politycznych i poetycznych, wycieczki na koniach i łodziach, strzelaninę z pistoletów, a w naddatku orgie, o których też wspomina ze wstrętem Shelley, zmuszony nieraz brać w nich udział i „z nerwami rozstrojonemi przyglądać się ludziom, zalewającym sobie gardła, do godziny trzeciej rano..." Pomimo to wszakże, przechodnie widzieć mogli przez resztę nocy światło, gorejące w jednem z okien uciszonego pałacu, gdzie Byron, pozostawszy w samotności, pisał swą opowieść o Don-Juanie.

Nie ubiegły trzy miesiące od czasu przybycia Byrona do Pizy, a już Shelley, który go sam tu ściągnął, przemyśliwał ciągle nad tem, aby jaknajspieszniej opuścić ulubione swe miasto. „Nienawidzę towarzystwa — z małymi chyba wyjątkami — a lord Byron jest rdzeniem tego wszystkiego, co może być najhaniebniejszem i najnudniejszem w towarzystwie..." Pisał on to zwierzenie do Gisborna, nie zdając się dobrze rozumieć, co mu czyniło tak nieznośnym stosunek z przyjacielem. Nie, ani to całe otoczenie Byrona, ani cofnięte przez niego słowo co do umowy o wydawnictwo *Przeglądu*, którzy mieli redagować do współki z Leigh Huntem, ani wady jego charakteru, ani nawet to, co nazywa „rakiem arystokratycznym" — budziło w Shelleyu jakąś instynktową odrazę do pałacu Lanfranchi. Obaj poeci, ale obaj czuli niewyraźnie, że są przedstawicielami wręcz przeciwnych ideałów. Pisząc o dwóch utworach, swoim i jego, Shelley powiada: „Jeżeli *Marino Faliero* jest dramatem, to moi *Cenci* bezwarunkowo nim nie są." Dyplomat ten zastoso-

system analityczny i celowy Platona, drugi system monistyczny i panteistyczny Bruna.

Te zasady monistyczne wykładał Bruno z podziwienia godną śmiałością, zważywszy na czas, w którym chrystyanizm panował wszechwładnie a filozofia celowości Platona zgadzała się z nim i wpływała na opinie teleologiczne szkół.

Wobec takich doktryn panteizm, niepoparty dostatecznymi dowodami, nie mógł zdobyć gruntu. Głowa wszechwładnego kościoła katolickiego ścigała go z nadzwyczajną surowością; heretycy-panteiści dostawali się w ręce Inkwizycyi, a sam Giordano Bruno, nieustraszony męczennik naturalnej prawdy, trzymany 8 lat w więzieniu i męczony, spalony został żywcem 17 lutego 1600 r.

Tu następuje przypomnienie słów Bruna powtórzonych za Sokratesem. „Większej doznajecie trwogi wydając wyrok, niż ja, słuchając go“ — oraz kilka frazesów, jak na profesora, dość pospolitych: o zastąpieniu chrześciańskiej trójcy, trójcą prawdy, piękna i dobra, itd. Dalej streszczenie teoryi Darwina, dość niepotrzebne, potem — o zgrozo! — aluzye do zjazdu króla Humberta z cesarzom Niemiec i braterstwie obu narodów, zestawienie Lutra z Brunem, a wreszcie takie, dość pruskie szyderstwo:

Dzisiaj wyspa św. Heleny lub inna jakaś wysepka na oceanie Spokojnym, złączona z nowożytną cywilizacyą jedynie parowcami i telegrafem (aluzya do telegrafu w Watykanie) zdałaby się lepszem schronieniem dla zachodzącego papiestwa; Rzym nowy, stolica odmładzająca się na gruzach średnich wieków, nie posiada już miejsca dla trzody klerykalnej. Miejmy więc nadzieję, że i pałac watykański, opuszczony przez dwór papieski, zostanie wkrótce oddany Italii wolnej i zjednoczonej i że król Italii wstąpi do stanu i legij Raffaela. Wtedy znikną także z kościoła św. Piotra ostatnie dowody ciemnych wieków średnich, a zamiast męczenników katolickich i książąt kościoła galerye Watykanu ozdobią się portretami nieśmiertelnych bohaterów wiedzy i sztuki, męczenników wiedzy naturalnej i wolnej myśli, a między pierwszymi zabierze miejsce najszlachetniejszy Giordano Bruno.

Podpisano: *Ernest Henryk Haeckel.*

Trzeba przyznać, że dziwi w ustach znakomitego profesora takie chłopięce gadulstwo, a gniewa to trącenie butem zwyciężonego dziś nieprzyjaciela. Powiadał Byron, że stanąłby natychmiast po stronie tyranów, gdyby ich widział uciśnionymi; francuz ma podobnie szlachetną naturę; ten potomek Brennusa jednak wołający: „Vae Victis!“ i grożący tak z nienacka rychłem wyrzuceniem ołtarzy z kościoła św. Piotra i to wszystko przy swem stanowisku profesora nauk przyrodniczych... wyskoczył bodaj czy nie jak Filip, na którego z własnych konopi warto ukręcić bicz śmiechu.

(D. n.).

Egrot.

SPRAWY EKONOMICZNE.

UBEZPIECZENIA MIEJSKIE.

Już w r. 1861 rząd radził miastom ubezpieczenia wzajemne nieruchomości od ognia. Do r. 1887 istniało ogółem w całem państwie 58 takich towarzystw, w których zaasekurowano je w sumie ogólnej 452,541,112 rs. 75 kop.; składki wynosiły 1,053,288 rs. 99 kop., straty zaś wynikłe skutkiem pożarów — 454,876 rs. 62 kop. Znaczna przewyżka ogólna znakomicie sprzyjała rozwojowi kapitału zapasowego, który z końcem r. 1887 wynosił 6,692,281 rs. O ile rezultaty świetnie się przedstawiają w cyfrach ogólnych, o tyle nieraz bywają ogromne straty w instytucyach pojedynczych. Okoliczność ta nasunęła myśl związku wszystkich towarzystw miejskich w celu wzajemnej reasekuracyi, lub utworzenia wspólnego kapitału zapasowego. Projekt ten poruszono na drugim zjeździe delegatów towarzystw miejskich przed kilku tygodniami w Petersburgu. Na pierwszym w r. 1885 wystąpiono z wnioskiem o zwolnienie ubezpieczeń wzajemnych miejskich od podatku i o przyjmowanie ich polis na kaucye akcyzne oraz przy dostawach dla rządu. Minister skarbu nie zatwierdził wszakże tych wniosków, zastrzegł przytem, że sprawa zwolnienia od podatków przekracza granice obrad zjazdu, upoważnił jednak do przedstawienia na drugim odpowiednich danych statystycznych. Co do polis, zalecił wykazać, które towarzystwa miejskie mogą być uważane za pewne. Z danych tych, na drugim zjeździe przedstawionych, widzimy, iż znaczna liczba towarzystw płaci więcej podatku, niż wynagrodzeń za straty. Między innemi kazańskie pobrało w r. z. 8,000 rs. składek, zapłaciło tyleż wynagrodzeń i uiściło 18,000 rs. podatku. Powstałe w roku zeszłym moskiewskie opłaciło 31,000 rs. podatku, pobrało zaś tylko 54,000 rs. składek. Ten ostatni wypadek wynika stąd, iż jednocześnie z powstaniem powyższej instytucyi, towarzystwa akcyjne zniżyły znacznie w Moskwie swe premia, odbijając strату na prowincyi; w celu współzawodnictwa Tow. wzajemne również zniżyło składki. Co do drugiej sprawy, wyjaśniono, że za miarę pewności towarzystw ubezpieczeń służyć może stosunek kapitału zapasowego do sumy ubezpieczenia. Jeżeli więc rząd uważa za pewne towarzystwa udziałowe, gdzie stosunek ów wynosi 5 do 10 na tysiąc, to towarzystwa wzajemne dają większą rękojmię (niektóre posiadają kapitały zapasowe w stosunku przewyższającym 10 na tysiąc). Na tej zasadzie uchwalono ponowić powyższy wniosek pierwszego zjazdu. Na ostatnim rozpatrywano ważną sprawę obowiązkowego ubezpieczenia wszystkich nieruchomości miejskich w towarzystwach wzajemnych. Przekonano się np., iż w Odesie wartość nieruchomości stanowi około 200 milionów rs., straty zaś ogniowe wynosiły przeciętciowo za lat 20 niespełna 54,000 rs. Towarzystwa akcyjne brały premia w stosunku 2,5 od tysiąca. Gdyby zatem przy obowiązkowem ubezpieczeniu towarzystwo brało tylko 2 od tysiąca, to za pięć lat będzie miało 800,000 rs. kapitału zapasowego i procentami od tego funduszu pokrywać może wszystkie swe straty bez ściągania składek. Wobec tego drugi zjazd prosił ponownie o zaprowadzenie obowiązkowego ubezpieczenia nieruchomości miejskich w towarzystwach wzajemnych z zastrzeżeniem, że obowiązek ten nie dotyczy właścicieli wcale nieubezpieczających swego mienia i że powyższe instytucye mogą odmawiać przyjmowania ryzyk bardzo niepewnych.

Zasadniczą sprawą, poruszoną na ostatnim zjeździe, było utworzenie związku pomiędzy towarzystwami miejskiemi. Z przytoczonych danych okazuje się, iż w 60 towarzystwach miejskich pobrano w r. 1888 około 1,365,000 rs. składek i wypłacono około 364,000 rs. szkód ogniowych, które dotknęły głównie kilka miast, skutkiem czego dwa towarzystwa upadły. Towarzystwa miejskie, gdyby się zechciały połączyć, zbierając rocznie około półtora mil. rubli składek i posiadając około 7 mil. rs. kapitału zapasowego, mogłyby współzawodniczyć śmiało z udziałowemi. W tym zakresie przedstawiono na zjeździe dwa projekty: pierwszy dotyczy utworzenia wspólnego kapitału zapasowego, drugi — wzajemnej reasekuracyi. Uchwalono, że oba te

---

wać można było do wszystkich dzieł tych ludzi, a przyszłość go stwierdziła. Dla dwóch rodzajów poezyi, tak dalece różnych pomiędzy sobą, nie mogło się znaleźć miejsca w zachwycie współczesnych. Z chwilą, w której piękno wymarzone i wyśpiewane przez Shelleya, zaczęło czarować czytelników, sława Byrona zmalała. Pomimo że jeden z nich był bardzo szlachetny, a drugi wspaniałomyślny, obaj odgadli bezwiednie nieuniknione starcie pomiędzy swymi geniuszami. Były to dwa talenty o całkiem przeciwnych tendencyach, więc każdy z nich wlewał w drugiego zwątpienie o sobie. Odcień tego uczucia doskonale pochwycić się daje w listach Shelleya, który zazwyczaj upojony boskim nektarem swoich snów, miewa chwile zupełnego pognębienia, ilekroć częściej odwiedza Byrona. Wielbił on go z całego serca, lecz czuł się jak gdyby milcząco nieuznany przez swego przyjaciela, chociaż Byron ze swej strony oceniał wysoko niektóre utwory swego przyszłego współzawodnika. Takie nieme, często bezwiedne antytezy w estetyce i metodzie stanowią wielką przeszkodę dla zupełnej zażyłości pomiędzy pisarzami. Potrzeba na to albo umysłowego panteizmu Goethego, który pozwolił mu tak się lubować geniuszem Schillera, jak rozwojem rośliny, albo skromności i pewnego doktrynerstwa, które skojarzyły Boileau z Racinem. „Jest coś w Byronie — mówi naiwnie Shelley — co uniemożliwia ścisłą zażyłość pomiędzy nami.“ Otóż zdaje mi się, że to coś tkwiło całkowicie — jeśli tak rzec można — w odmienności rasowej ich poezyi. Te to właśnie poezye nie znosiły się i odtrącały nawzajem, podczas gdy ci ludzie mniemali, że się kochają, — i może się kochali.

Jakąkolwiek zresztą była subtelna zagadka ich dusz, dość że Shelley opuścił Pizę na początku 1822 roku i osiedlił się wraz z żoną i przyjaciółmi swymi Williamsami w jednej z najbardziej odludnych miejscowości wybrzeża Spezzii. Wynajął tam domek wiejski, który nazwał *Willą Magni*, a który — jak powiada Trelawny — podobniejszym był do „domku kąpielowego,“ niż do willi. Taras zbiegał aż do morza. Na dole nie było ani drzwi, ani okien, a całe pierwsze piętro składało się z salonu, okolonego czterema małymi pokoikami. Mieszkanie to odległem było o trzy mile od wioski, a jedyny do niego dostęp stanowiła ścieżka, ciągnąca się wzdłuż stromych brzegów. Dzikie, pokryte lasem wzgórza wznosiły się od tyłu. Tam to przepędził Shelley kilka najszczęśliwszych, ale też zarazem ostatnich miesięcy swego krótkiego życia.

O ile wnosić można z listów jego i wierszy, zapłonął on dla Janiny Williams, żony swego przyjaciela, jednem z tych uczuć bez nazwy możebnej, z niewysłowionym odcieniem tkliwości i czystości, które były mu właściwe. Mógł on poświęcić najbardziej ognisty ze swych poematów, *Epipsychidion*, myśli o ucieczce z młodą dziewicą uwięzioną w klasztorze, Emilią Viviani — i to za zgodą własnej żony. Rozumiał on aż nadto dobrze, że urojeniom tego rodzaju nie pobłaża opinia, to też powiada, mówiąc o tym utworze, że „niema nic bardziej szkodliwego nad tych, którzy wszelką słodką strawę zamieniają w truciznę—i wszystko, czego dotkną — na skażenie własnej natury...“ Całą błogość tego bezimiennego uczucia, stanowiły głównie wycieczki po morzu. Podczas pięknych nocy wiosny włoskiej, wobec krajobrazu morskiego Shelley kładł się na dnie barki u nóg Janiny Williams, prosząc ją, by mu przygrywała na gitarze. Patrzał wówczas na nią, a w jednym z listów woła: „Ach! gdyby przeszłość i przyszłość wykreślić się dały, wówczas byłbym do tyla zadowolony teraźniejszością, że mógłbym wraz z Faustem wykrzyknąć do uciekającej chwili: Pozostań, ty zachwycająca...“Bo i jakaż to była ta przeszłość! Pierwsza jego żona, którą opuścił, utopiła się

związki mogą istnieć współrzędnie w ten sposób, że każde towarzystwo, stosownie do uznania swego, może należeć do jednego z tych związków, albo do obu jednocześnie. Pierwszy projekt przyjęto wszystkimi głosami, drugi — wszystkimi, oprócz Towarzystwa petersburskiego. Opracowaniem szczegółów zajęły się dwie specyalne komisye, których wnioski zatwierdzono na posiedzeniu zjazdu. Oto ich osnowa: *a*) Celem utworzenia wspólnego kapitału zasobowego, każde Towarzystwo składa jednorazowo po 10,000 rs. W razie poniesienia nadzwyczajnych strat, pochłaniających w danem Towarzystwie wszystkie pobrane składki i procenty od własnego kapitału zapasowego, Towarzystwo to otrzymuje z wspólnego kapitału zasobowego pożyczkę do wysokości $^1/_3$ funduszu, bez procentu i bez terminu, lecz aż do zwrotu tej pożyczki nie może zniżać składek i powinno przeznaczać całą przewyżkę dochodów na spłatę pożyczki. *b*) Reasekuracya pomiędzy Towarzystwami wzajemnemi miejskiemi polegać będzie na tem, że niepokryta składkami i procentami od własnego kapitału zapasowego część strat każdego poszkodowanego w ten sposób Towarzystwa, rozdzieloną będzie bezzwrotnie pomiędzy inne Towarzystwa związkowe. Przystąpienie do związku reasekuracyjnego jest dobrowolne, wyjść zaś można dopiero po roku za trzymiesięcznem wypowiedzeniem. Towarzystwo, które nierozważnie przyjmować będzie niepewne ryzyka, albo zanadto zniżać stopę składek, może być wykluczono ze związku większością $^3/_4$ głosów. *c*) Załatwianiem spraw związkowych zajmować się będzie biuro, na którego utrzymanie, oraz na koszty wydawnictwa jego prac, zjazd przeznaczył 2,500 rs. rocznie, rozkładając tę sumę po rs. 50 na każde Towarzystwo.

Dzięki powyższym projektom, miasta pomniejsze będą mogły posiadać własne towarzystwa, mając tak znakomitą podstawę wzajemności. Co się tyczy Królestwa Polskiego, są pewne względy, które zasługują na bliższą uwagę. Po zniesieniu w r. 1870 ogólnej dla Królestwa instytucyi ubezpieczeń wzajemnych („Dyrekcya ubezpieczeń“), administrowanej przez rząd, jedna tylko Warszawa otrzymała podobną instytucyę (jako wydział magistratu), gdzie wszystkie nieruchomości miejskie muszą być obowiązkowo ubezpieczone, w całkowitej wartości szacunkowej. Na prowincyi zaś utworzono oddzielne dla każdej gubernii instytucye ubezpieczeń wzajemnych, jako osobne wydziały przy rządach gubernialnych, działające również na zasadzie obowiązkowości, lecz z ograniczeniem ubezpieczonego ryzyka dla każdej nieruchomości do 50,000 rs., w niektórych zaś wypadkach do 10,000 rs. *Dziennik łódzki* podnosząc potrzebę założenia w Łodzi Towarzystwa ubezpieczeń, opartego na podstawach uchwalonych na zjeździe ostatnim w Petersburgu, słuszną robi uwagę, iż system istniejący dotąd w Królestwie Polskiem, jest wielce niedogodnym. Wynagrodzenie za szkody ogniowe, wyplacane przez instytucye gubernialne w stosunku 5,000 rs. na całą nieruchomość, stanowi najczęściej drobną cząstkę szkody ogólnej. Dla właściciela większej nieruchomości wynagrodzenie to niema żadnego znaczenia; natomiast należenie obowiązkowe do instytucyi gubernialnej zmusza go do znacznych kosztów, nie z powodu składki, wynoszącej zaledwie kilkadziesiąt rubli rocznie, lecz wskutek taksowania, powtarzającego się przy każdej zmianie w zabudowaniach. Zdarza się to najczęściej w fabrykach, tembardziej, że taksowaniu podlegają także maszyny. Starano się w tym kierunku zrobić udogodnienia jeszcze przed trzema laty. Mianowicie, w warszawskim oddziale Towarzystwa popierania przemysłu i handlu uchwalono projekt pociągnięcia wszystkich fabryk do stałej opłaty po 50 rs. rocznie na rzecz instytucyi gubernialnej, bez prawa do jakiegokolwiek wynagrodzenia z funduszów tej instytucyi. Projekt powyższy odesłano do komitetu Towarzystwa w Petersburgu, dotąd wszakże niewiadomo, co się z nim stało.

Na uciążliwość ubezpieczenia gubernialnego, według ust. z r. 1870 skarżyli się także obywatele ziemscy. Skutkiem tego generał-gubernator warszawski polecił komisyi złożonej z kilku gubernatorów zbadać trudności wynikające z tej ustawy. O rezultatach tej sprawy również nam dotąd nic nie wiadomo.

Drogomir.

BADANIA NAUKOWE.

PIERWOCINY KULTURY.

Dążność wciągnięcia świata zwierzęcego do dziejów kultury ludzkiej. — Van Ende i p. Royer. — Prace Karola Letourneau. — Własność terytoryalna wśród zwierząt i rodowód ludzkich uczuć względem własności. — Znaczenie badań nad zwierzętami w zakresie poruszeń masowych. — Pochodzenie sobótek i zbiorowisk wiosennych.

Materyał do dziejów rodu ludzkiego wzrasta niepomiernie. Zdanie to nie jest wcale czczym zwrotem mowy dla rozpoczęcia artykułu, lecz stwierdzeniem istotnego stanu rzeczy. Gdyby ktoś zażądał dowodów, przytoczylibyśmy je bez trudu, ułożywszy tylko spis towarzystw chociażby w jakiejś jednej dziedzinie (np. folklorystycznej), zajmujących się badaniem nad człowiekiem, i wydawanych czasopism specyalnych... Zresztą działalność w tym kierunku jest zwykłem znoszeniem cegiełek dla budowy gmachu dopiero w przyszłości. Dzięki też temu niepodobna uwiadamiać czytelników o każdym dokonanym kroku, zdobytym fakciku lub rzuconym poglądzie; przytem te drobiazgowe zdobycze nie zawsze tak łączą się z sobą i przylegają nawzajem, aby je można było spoić w jednolite powiązanie.

Dzisiejsze nasze sprawozdanie rozpoczniemy od pierwocin kultury śród zwierząt. Liczba badań w tym kierunku dosięga już znacznych rozmiarów. Nie mamy tu zaś na uwadze spostrzeżeń nad umysłowością zwierzęcą, które szybko się mnożą, wydając często dzieła pierwszorzędnej wartości, jak książkę Romanesa lub świeżą — Lubbocka, ale jedynie i wyłącznie mówimy o dążnościach znalezienia dla rozmaitych objawów kultury ludzkiej zaczątku zwierzęcego. Prąd ten uwidocznił się zwłaszcza silnie pod postacią większych lub mniejszych artykułów w czasopismach specyalnych, często zaś tylko w formie nieznacznych wzmianek, lub pierwszych rozdziałów literatury socyologicznej, przeznaczonych dla świata zwierzęcego. W ten sposób, czy weźmiemy pracę jakąś włoskiej szkoły antropologicznej, lub pierwszą lepszą książkę Letourneau, zawsze na początku znajdujemy postacie zwierzęce, jakkolwiek czasami w rezultacie otrzymujemy nie więcej nad zbiór anegdot... Zresztą, oprócz drobnych artykułów lub pojedyńczych ustępów, ukazują się też całe książki, poświęcone temu rozszerzeniu na świat zwierzęcy dziejów kultury ludzkiej. Tutaj należy dzieło niejakiego van Endea *Historya naturalna wiary* *). Czego chce jej autor? Otóż usiłuje dowieść, że z początkami systemów filozoficzno-kosmicznych i próbami jakiegoś pojęcia przyrody spotykamy się już wśród zwierząt. Van Ende walczy faktami, które jednakże — co jest najzupeł-

*) *Histoire naturelle de la croyance. I. Animal.*

---

wkrótce z rozpaczy. Inna jakaś kobieta, snująca się za nim z miasta do miasta, a która mu nigdy nie wyznała swej miłości, jak utrzymują, umarła w Neapolu. Emilia Viviani doznała również smutnego zawodu w swych złudzeniach, a i z drugą żoną nie mogli też dojść do porozumienia, chociaż była wierną towarzyszką jego koczowniczego życia. Dzieci z pierwszego małżeństwa odebrano mu skutkiem rozporządzenia lorda Kanclerza. Otaczały go gruzy i nędza. Uśmiechała się doń tylko Janina Williams — i o tym to uśmiechu marząc, pisał zapewne ten dziwny poemat, w którym kobieta magnetyzująca młodzieńca, szepcze mu: „Uśnij, uśnij, zapomnij o twem cierpieniu. Ręka moja spoczywa na twem czole, moja myśl— na twym mózgu, a moja litość — na twem sercu — biedny przyjacielu.“ I dalej: „Śpij, oh! śpij! A w tym śnie, do śmierci podobnym i nicość przypominającym, zapomnij, że masz się kiedyś przebudzić na zawsze,— zapomnij o ciężkiej niewadze świata;—zapomnij o swem zdrowiu straconem bezpowrotnie i o boskich marzeniach zgasłych w krótkim poranku młodości. *Zapomnij zarazem o mnie, boć ja przecie nie mogę nigdy być twoją...*“

* * *

...Śledziłem za nimi, jednej z tych pięknych nocy jasnych, błądząc nad brzegami zatoki Spezzii, widziałem blade światło księżyca, kołyszące się łagodnie na ruchomych i powolnych falach; tam w odległych załomach, gdzie kołysanie się morza zaledwie budziło westchnienie. Podczas takich to nocy, upajając spokojnych, wpatrywał się Shelley *w tę, która nie miała być jego*, lub też pisał poemat o *Tryumfie życia*, ostatnie swe dzieło — niedokończone. Niewątpliwie bezbożna nienawiść podyktowała mu taką odpowiedź na *Tryumf śmierci*,—ten porywający fresk pędzla Orcagna na południowej stronie muru Campo-Santo, w Pizie... Niestety! jeden podmuch wiatru zemścił się na marzeniach poety i poematu. Shelley i jego przyjaciel Williams kazali sobie zbudować w Genui statek, którym zaledwie władać umieli, a który w pełni dnia, tuż u wybrzeży, burzą miotany, zatonął w oczach widzów. Odnalezione ich ciała zostały spalone, stosownie do przepisów prawnych, zapobiegających szerzeniu się wszelkiej zarazy. W kieszeni u Shelleya znaleziono ostatni tom poezyi Keats'a złożony na odwrót, widocznie marzyciel ten czytał w chwili, kiedy go zaskoczyła burza... Zdaje się, jak gdyby przeznaczenie, przerywając tak nagle żywot twórcy *Tryumfu życia*, chciało urzeczywistnić symbol *Tryumfu śmierci*, zawarty w pracy starego Orcagna. Grupa, przedstawiona po prawej stronie tego fresku, wyobraża młode kobiety i młodych magnatów, rozkosznie zabawiających się pod cieniem drzew w piękny dzień letni. Jedna z tych kobiet przesuwa delikatnymi palcami po lutni, a mężczyzna, przybrany w długi płaszcz, przygrywa jej na skrzypcach. Inna, pieszcząc uszy przyjemnemi słowami jakiegoś rycerza, głaszcze małego pieska, wówczas kiedy trzecia, zakrywa dłonią piękny uśmiech igrający na ustach. Po nad odosobnioną i spokojną sielanką w kącie strasznej sceny—niby nad tym spokojem i odosobnieniem, jakie odczuwano w *Willi Magni*—zawisł miecz Anioła niszczyciela. Rzucił się, pazury u nóg jego i kończyny skrzydlate skurczyły się wściekle... Biedny Shelleyu! Tu nie świat, którego ty pragnąłeś, lecz świat, gdzie słodycz piękna, szlachetne marzenia i ohydna śmierć tworzą jedność.

niej zrozumiałem w tej dziedzinie badań — zakrawają w większości wypadków na anegdotki, chociaż nie są znów o wiele gorszymi od wielu podawanych w etnografii. Z tego też powodu czytelnik przyjmuje wywody wspomnianego badacza z niejakiem niedowierzaniem. Atoli należałoby uwzględnić rzecz jedną, mianowicie odróżnić możliwość jakiegoś objawu od sposobu udowadniania jego istnienia. Można lekceważąco patrzeć na opowieści, przytoczone w książce van Endea, niepodobna jednak nie zgodzić się, iż zwierzęta są w stanie wyłonienia tego, co wśród ludzkości rozrosło się w bujne drzewo naiwnego, dawnego pojmowania przyrody. Postaramy się to twierdzenie jako tako oprzeć na szerszej podstawie.

W tym celu wypada nam odpowiedzieć na pytanie: w jaki sposób zwierzęta, przynajmniej wyższe, przedstawiają sobie otoczenie zewnętrzne. Pewnej nici przewodniej dostarczy nam niewielka rozprawka Klemencyi Royer o *Arytmetyce u zwierząt*. Ponieważ jednak punkt ciężkości naszych uwag obecnych spoczywa nie w rozpatrywaniu uzdolnień zwierzęcych, więc skorzystamy tylko z niektórych ustępów tej pracy. Przedewszystkiem przypatrzmy się niższym szczepom ludzkości. Jak wiadomo, uzdolnienia do oderwanego rachunku są wśród nich nader słabo rozwinięte. Istnieją nawet takie grupy, którym już zbywa na nazwach dla oznaczenia ilości wyżej dziesięciu. Nie wynika stąd jeszcze, aby istotnie dzikiemu brakło pojęcia wieloliczebności. Zawsze on odróżni, czy ma trzech lub czterech albo dziesięciu wrogów przed sobą i odpowiednie przedsięweźmie kroki. Cała rzecz polega na tem, iż nie może pojąć liczby w oderwaniu od przedmiotów, z którymi jest ona związana i dokonywać z nią działań umysłowych. „Dwa" zawsze przedstawiają się jego umysłowości jako dwa drzewa, „trzy" — jako trzy kanty palki, „dwadzieścia" — jako dwadzieścia palców u rąk i nóg. Cztery drzewa uczynią zgoła odmienne wrażenie, aniżeli cztery kamienie i dziki umysł pomiędzy temi dwoma konkretnemi wyobrażeniami nie zauważy żadnej wspólnej cechy. Naturalnie coś podobnego winniśmy spodziewać się u zwierząt jeszcze w wyższym stopniu, ile że zbywa im na przewybornym środku wyrabiania ścisłych, określonych a wyodosobnionych pojęć — na mowie członkowanej. Jednakże całe postępowanie wyższego zwierzęcia świadczy, że posiada ono zdolności wyróżniania stosunków ilościowych. Pod tym względem przypomina dzieci z pierwszych lat życia. Jak te ostatnie, uświadamia ono sobie różnicę pomiędzy pojedynczością a podwójnością, wielością a nieliczebnością. Wilk lub lis umieją przewybornie spostrzedz, ilu psów, czy jeden lub więcej, strzegą owiec, oraz czy trzoda zawiera w sobie dużo lub mało sztuk i w jakiem rozmieszczeniu. Podobnie niedźwiedź zachowuje się odmiennie, stosownie do liczby napastników. Jeżeli np. został poszczuty i osaczony przez dwie pary psów, stawia się w sposób, aby nie dopuścić wrogów z boku, lecz mieć wszystkich i zawsze przed sobą. Dopiero kiedy ilość ich jest daleko znaczniejsza, napastowany traci zdolność liczbowego uświadamiania — niedźwiedź otoczony przez sforę psów miesza się do tego stopnia, iż zapomina o zwykłej strategii i zamiast usiłowań zgromadzenia przeciwników na przodzie, rzuca się na pierwszego lepszego, odsłaniając tył i boki. Słowem, możemy z całą słusznością wnioskować, iż zwierzę, jakkolwiek nie posiada pojęcia liczby oderwanej, uświadamia sobie jednakże w pewnych granicach stosunki ilościowe. Liczba zlewa się u niego zawsze z przedmiotem; oderwanego wyobrażenia np. „dwóch" ono nie posiada, chociaż ma świadomość, że dwóch ludzi a trzech są czemś zgoła odmiennem. To samo widzimy prawdopodobnie na każdym kroku w umysłowości zwierzęcia. Własność w oderwaniu od rzeczy jest dla niej jeszcze niedostępną, co zresztą spostrzegamy i wśród pierwocin ludzkich. Tak, sanskryckie „varna"—barwa w zestawieniu „var"—pokrywać, wskazuje, iż pierwotnie słowo to oznaczało skórę; fińskie „karva" podobnie znaczy zarazem i barwę i włosie. Możemy przeto przypuścić, że obraz świata zewnętrznego w umyśle zwierzęcia przedstawia się jako jedna olbrzymia fotografia, pamięć zaś polega na odtwarzaniu cząstkowem lub całkowitem dawnych obrazów; postęp ludzki, w miarę powstawania mowy członkowanej, polegał na wydzielaniu z tego ogólnego przedstawienia pojedynczych części, na rozpatrywaniu ich w takiem wyodosobnieniu i na uogólnieniu cech wspólnych, oraz odrywaniu własności. Atoli już zwierzę musiało zauważyć, że wśród tej olbrzymiej fotografii niektóre części poruszają się, inne są nieruchome, te odznaczają się ciepłem wewnętrznem, inne nic podobnego nie okazują — itd. I oto nieświadomie poczyna się robota klasyfikacyjna różnych szczegółów obrazu zewnętrznego. Zwierzę ucieka od wody szumiącej, obawia się cienia... Pies szczeka na księżyc. Zachowanie się samo wskazuje, że różne zjawiska przyrody zostały jakoś rozróżnione. Klasyfikacya ta, poczęta w mózgu naszych zwierzęcych przodków, posłużyła prawdopodobnie za podkład rodzajom gramatycznym, które w ten sposób byłyby niegdyś streszczeniem poglądów kosmiczno - filozoficznych, lecz przetrwały upadek odpowiedniego pojmowania. Z podobnego podścieliska wyrastają wierzenia dzikich oraz właściwe im kulty. Van Ende twierdzi właśnie, że u progu takiego stanu znajdują się już słonie, psy, małpy a nawet niektóre ptaki. Mają one już wyróżniać przedmioty żyjące od nieżyjących, pojmując jednakże te ostatnie zgodnie z naturą pierwszych. Słowem, pierwocin „animizmu," odgrywającego taką rolę w poglądach Tylora na dzieje staroczesnej filozofii kosmicznej, należałoby poszukać daleko w przeszłości... Naturalnie z takiem wyróżnieniem przedmiotów łączyć się musi pewna obawa względem niektórych, i oto znowu stoimy u kolebki bodźców i uczuć, towarzyszących narodzeniu i rozwojowi kultów... Zresztą autor *Historyi naturalnej wierzenia* nie stoi odosobniony w swoich zapatrywaniach. U Karola Letourneau, w jego *Rozwoju moralności*, można było spotkać się z podobnemi twierdzeniami już przed kilku laty.

Wspomniane nazwisko nasuwa nam na myśl próby wyszukiwania wśród świata zwierzęcego innych zarodków kultury społecznej. Letourneau od lat kilku wykłada w paryskiej szkole antropologicznej, wykłady zaś roczne wydaje następnie w postaci książek. W ten sposób ukazały się kolejno dzieła o rozwoju moralności, następnie rodziny i małżeństwa, wreszcie niedawno o rozwoju własności. Każda praca rozpoczyna się od badania odnośnych objawów u zwierząt. Korzystając z ostatnio wydanej książki o *Rozwoju własności**) zapoznamy czytelnika z wywodami francuskiego socyologa w tej mierze. Jest on stanowczo zdania, iż kto chce zrozumieć dzieje własności, musi rozpocząć od świata zwierzęcego, zwłaszcza jeżeli idzie o właściwe tej instytucyi popędy i uczucia. „Instynkt własności ukazuje się jako jedna z postaci wszechwładnego popędu samozachowawczego, nadto różne formy przywłaszczania, spotykane wśród społeczeństw ludzkich, istnieją też u zwierząt, lecz występują tutaj bez osłonek, w sposób szczery i niezamaskowany. Okoliczność ta znacznie ułatwia zbadanie psychicznych bodźców, spoczywających w podkładzie własności, i rzuca niejakie światło na najgłębsze sprężyny życia ludzkiego," — takiem jest stanowisko badacza francuskiego co do rodowodu własności. W tem oświetleniu jedna z „podstaw" porządku społecznego wykazuje początki bardzo niezaszczytne. Jest ona dzieckiem samolubstwa osobniczego; co więcej, rodzi się z popędu ku kradzieży i zazdrości. Na dnie jednakże spoczywa— jakeśmy tylko co widzieli—instynkt samozachowawczy, występujący zresztą we wszelkich uczuciach względem własności, jako pierwotne a zasadnicze źródło. Weźmy chociażby skąpstwo, doprowadzające osobnika często do odmawiania najkonieczniejszym potrzebom ciała. Otóż jest ono tylko patologicznem wykoszlawieniem gromadzenia zapasów na wypadek możliwego braku środków spożywczych; słowem, wyłoniło się z troski o własną osobę, jakkolwiek w ostatecznem swem ukształtowaniu zaprzecza temu celowi. Pod skalpelem krytyki wspomnianego badacza, Otello, duszący Desdemonę, został przyrównany do wilka, wyrywającego jakiemuś swemu współbratu w skórze zwierzęcej łupy rozboju, z tą różnicą, że namiętność ludzka, dzięki wielowiekowemu tresunkowi, przybrała szaty ideologiczne... Zresztą, Letourneau poszukuje u zwierząt nietylko rodowodu ludzkich uczuć względem własności. Idzie on dalej, gdyż usiłuje dowieść istnienia wśród nich jeszcze własności terytoryalnej. Lew np. żyje samotnie, wiążąc się tylko czasowo w grupę szerszą — rodzinną; dla utrzymania potrzebuje on znacznego obszaru, gdzieby mógł swobodnie i wyłącznie polować. Gdy wybierze jakąś miejscowość, nie pozwala wkroczyć w jej granice żadnemu innemu. Widzieć można z tego powodu częste walki. Jeszcze lepiej to zjawisko występuje u psów Egiptu, żyjących towarzysko znacznemi bandami. Terytoryum podzielone jest pomiędzy gromady, z których każda pozostawia miejscowość swemu potomstwu. „Biada psu — powiada jeden podróżnik — jeżeli zabłąka się na cudzem terytoryum. Widziałem na własne oczy, jak inne psy rzucały się na przybysza i rozszarpywały go w kawałki." Między innemi, socyolog francuski przytacza fakt z życia żubrów w Białowieży. Żyją one tutaj trzodami, z wyjątkiem nielicznych samotników. Ale każda gromada błąka się jedynie wzdłuż ściśle określonego obszaru, zwykle w pobliżu strumienia. W ten sposób puszcza została podzieloną na pewną liczbę terytoryów własnościowych— bez udziału człowieka. Wątpliwem jest, czy Letourneau przypuszcza istnienie jakichś świadomszych pojęć w tej mierze u zwierząt; raczej możemy sądzić, iż stanowczo je odrzuca. Pomimo to wskazane fakty z zewnętrznej formy nader przypominają postępowanie hord dzikich wśród ludzkości, z których każda koczuje w obrębie jakiejś jednej krainy, nie wydalając się po za nią i broniąc jej przed najściem obcoplemieńców. W ten sposób pierwotny rozwój własności terytoryalnej wśród rodu ludzkiego polegałby na zatrzymaniu stosunków pożycia zwierzęcego i zapełnieniu ich bardziej określoną i wyraźniejszą treścią subjektywną — pojęć prawnych. Należy nadto zauważyć, że uczony francuski wykazuje jeszcze, iż w świecie zwierzęcym można spostrzedz równie poczynanie się własności względem przedmiotów ruchomych i że postacie posiadania terytoryalnego a osobniczego już na tym nizkim szczeblu rozwojowym odznaczają się odmiennymi rysami.

Nie wdajemy się w szczegółowsze streszczanie wywodów *Rozwoju własności* w zakresie zwierząt, jakkolwiek znalazłoby się tutaj jeszcze wiele ciekawych faktów, chociażby np. ten, iż u mrówek lub pszczół zewnętrzne warunki powstania własności są szerzej rozwinięte aniżeli u jakichś veddabów Ceylonu. W dzisiejszym artykule chodziło nam bowiem głównie, jeżeli nie wyłącznie, o wskazanie dążności, która nurtuje się w kołach uczonych co do wyprowadzania

*) *Evolution de la propriété.* Pomówimy o tem dziele szczegółowiej w jednym z następnych numerów.

kultury ludzkiej z jej zdobyczami z zaczątków, istniejących już w świecie zwierzęcym, i wciągnięcia w ten sposób wyjawów życia zwierzęcego w zakres badań nad dziejami człowieństwa. Trudno z góry przesądzać wyniki i plony takiego postępowania. Jedno wszakże nie ulega wątpliwości, mianowicie, iż to rozszerzenie studyów może otworzyć nowe widnokręgi zwłaszcza we względzie sfery emocyonalnej, właściwej pożyciu społecznemu ludzkości. Szukania t. z. „wiary" w uczuciach zwierzęcia, wyprowadzania popędu własnościowego lub namiętności ku gromadzeniu z instynktów samozachowawczych, wszystko to bezwarunkowo rzuca a przynajmniej może rzucić wiele światła na pierwociny naszej ludzkiej kultury. Zwłaszcza takie badania obiecują bardzo dużo w zakresie poszukiwań nad ruchami masowemi. Potrącimy kiedykolwiek o dokonane tu zdobycze. Na dzisiaj wspomnimy tylko o jednej — rodowodzie naszych sobótek i majówek, lub obchodów wiosennych o charakterze rozpustnym wśród dzikich itd. Otóż prawdopodobnie ród ludzki, jak i inne zwierzęta, przechodził przez okres, kiedy popęd płciowy działał tylko w szczególnej porze roku. Jest cała wiązanka faktów, dowodząca, iż parzenie te odbywały się wiosną. Z czasem, w miarę rozwoju, peryodyczne zbiegowiska płciowe zamieniały się w stałe obcowanie małżeńskie, obok którego jednakże dochowywały się w zwyczaju bezładne a wyzudane gromadzenia wiosenne. Atoli traciły one powoli piętno pierwotne, lubo dotrwały do dnia dzisiejszego tu i owdzie, zwłaszcza wśród ludów dzikich, w szczątkowej, częstokroć wszakże bardzo jeszcze wyraźnej formie*).

Lud. Krz.

WYNALAZKI.

Nowy fonograf Edisona. Na posiedzeniu paryskiej Akademii nauk w dniu 23 kwietnia r. b. p. Gourand miał mowę o nowym fonografie Edisona, którą w streszczeniu podajemy, jako poznamiającą nas lepiej ze znaczeniem i doniosłością tego cudownego przyrządu od wszystkich innych suchych opisów technicznych.

Nie potrzebuję — rzekł mówca — objaśniać praw, ani godnych uwagi zjawisk dźwięku i fal brzmiących, których znajomość jest konieczną dla dobrego zdania sobie sprawy z tego cudownego narzędzia, zwłaszcza jeżeli przypomnimy sobie, że w muzyce liczba drgań waha się między 40 a 400 na sekundę, i że po za muzyką i dźwiękami harmonijnymi liczba ta wzrasta do 40,000. Dołączcie do tego rozmaitość natężenia, a zwłaszcza brzmienia, nieskończone przyczyny dźwięku, ożywione i nieożywione, ludzkie i zwierzęce, pomieszczające w przyczynach głosu ludzkiego wszelkie dźwięki wygłoszone mową wszystkich ludów w całym świecie, językami krajów ucywilizowanych i dzikich, słowem, wszelakie głosy zdolne wywrzeć wrażenie na organie słuchowym człowieka.

Fonograf dziś ulepszony notuje i odtwarza to wszystko, z jak największą dokładnością, nie popełniając nigdy błędów i to prawie do nieskończoności. I z czegóż ten czarodziejski przyrząd się składa? Z kilku kawałków drzewa, żelaza i wosku, a te maleńkie nicostki, z pozoru nic nieznaczące, jak we wszytkich wielkich wynalazkach, stanowią jednak duszę i geniusz człowieka, który je wynalazł.

Fonograf pod pewnymi względami dorównywa człowiekowi, gdyż posiada jeden z największych jego darów — „słowo." Ma on nawet poniekąd wyższość nad człowiekiem, gdyż może powtarzać po jednej lekcyi, czyli po jednem wysłuchaniu, nietylko rozprawy we wszystkich językach, ale nadto śpiew, muzykę wszelkich instrumentów, całej orkiestry i to prawie do nieskończoności. Co prawda, pomimo tych wszystkich uzdolnień znakomitych, których nie posiada człowiek, składa wszelako to narzędzie dowód swej niższości w zupełnym braku wyobraźni i inicyatywy.

Fonograf jest jeszcze w okresie wieku dziecinnego. Pozostawał on w stanie pierwotnym, nieulepszonym, przez lat dwanaście. Edison zajęty był pracą nad wydoskonaleniem innych wynalazków.

Ten pierwszy przyrząd, któremu Edison nadał bardzo właściwą nazwę fonografu, okazał wkrótce, że słowo może notować się i odtwarzać z jaknajwiększą dokładnością środkami mechanicznymi i wsławić imię swego twórcy w całym świecie. Przyrząd miał wtedy lat trzynaście.

Fonograf taki, jakim był w 1887 roku, urzeczywistniał marzenie poetów, nadzieję filozofów i przepowiednie entuzyastów. Faktem jest znaczącym, że przyjęty zrazu z niedowierzaniem, które zmieniło się wkrótce w powszechne uwielbienie, został udoskonalony dopiero wtedy, gdy na nowo zajął się nim twórca.

Podczas tych dziesięciu lat w chwilach wolnych Edison powracał do swej pracy, lecz zabrał się do niej poważnie dopiero przed dwoma laty. Rozniosła się też wkrótce wieść, że zdołał odtworzyć wiernie dźwięk głosu ludzkiego i muzyki. Gdy przed kilku miesiącami pierwszy raz słyszałem u siebie w Anglii za pośrednictwem fonografu głos Edisona, możecie panowie wyobrazić sobie rozkosz, jakiej z rodziną moją doznałem. Wypowiedziałem głośno po angielsku sprawozdanie dziś wam przeczytane. Było ono przepisane i przełożone na język francuski. Francuz odczytał ten przekład przed fonografem i po wielu powtórzeniach zdołałem poprawić mój akcent; jeżeli popełniłem jakie błędy, wina to moja, a nie fonografu.

Jako ostatnie zastosowanie, i to jedno z najwięcej interesujących, przytoczę pracę fonografu z telefonem.

W Nowym Yorku rozmawiano i grano; słowa i muzyka były słyszane w jednej z sal Filadelfii przez licznych słuchaczy z odległości 140 kilometrów.

Doświadczenie odbyło się w następujący sposób. Wygłoszono słowa w Nowym Yorku w fonografie, ten powtórzył je telefonowi, który przesłał je znów motografowi a ten z kolei odtworzył je głośno w innym fonografie w Filadelfii. Ten ostatni powtórzył słowa drugiemu fonografowi, który w końcu odtworzył głośno wszystko to, co było mu przesłane, przed licznem zgromadzeniem osób w Filadelfii, w Instytucie Franklina, znanym całemu światu.

W tem cudownem doświadczeniu posługiwano się trzema najznakomitszymi wynalazkami Edisona: telefonem, motografem i fonografem.

Głos, wybiegłszy z Nowego Yorku i słyszany w Filadelfii, przeszedł z kolei przez pięć różnych warstw powietrza, a tem samem dał się słyszeć pięć razy w przebiegu. Co więcej, przeszedł przez dziesięć ciał różnych, nie wliczając w to prądu elektrycznego szkła, żelaza, miki, kredy, wosku, węgla, stali i miedzi.

Doświadczenie to wykonano pod kierunkiem Hammera, najbieglejszego laboranta z pracowni Edisona, zarządzającego wystawą licznych jego wynalazków.

W pierwszym *liście mówiącym*, otrzymanym w odpowiedzi na mój od Edisona, słyszałem go, jak gdyby zasiadł przed nami, mówiącego, kaszlącego, śmiejącego się i kończącego list wyrażeniem przyjemności, jakiej doznał, słysząc mój głos zamiast męczenia się nad odczytywaniem mego szkaradnego pisma. Tąż drogą wysłuchaliśmy kilku fragmentów muzycznych, granych w Ameryce; słyszeliśmy niemniej dolatujące z pracowni Edisona uderzenia młota o kowadło, szmer pilnika obrabiającego żelazo i wreszcie wstrząsające „hurra!" robotników, żegnających odjazd pierwszego głosu wyruszającego w drogę.

Wszystkie te dźwięki były tak czyste i dokładne, że można było obejść się bez głosu Edisona, objaśniającego nas o ich pochodzeniu.

Fonograf w zastosowaniach może posłużyć do następujących użytków:

1) Można dyktować listy i kopiować je przez człowieka nieumiejącego pisać; może je też skopiować drukarz lub bezpośrednio drukować, czego już próbowano z powodzeniem w Anglii i Ameryce.

2) Można przesyłać głos pocztą za pośrednictwem fonogramu. Głos mówiącego słyszeć się daje z właściwą mu intonacyą.

3) Mężowie stanu, adwokaci, kaznodzieje, mówcy, mogą roztrząsać swe mowy, odnosząc tę nieocenioną korzyść, że są w możności notowania swych myśli, w miarę jak te przejawiają się i to z szybkością, której jedynie samo wymawianie zdoła wyrównać. Mogą zwłaszcza wysłuchać swego własnego głosu, jak każdy inny słuchacz. Artyści dramatyczni, śpiewacy powtarzać mogą swe role, a nawet poprawiać wymowę i sposób jej akcentowania.

4) Dziennikarze mogą wyrażać swe poglądy mową zamiast pismem; artykuły ich nie pisane, lecz wymawiane, mogą być zaraz drukowanemi. Głos ludzi słynnych może być przechowywany do nieskończoności, równie jak ostatnie pożegnanie umierających.

Czyż mogę dać lepsze wyobrażenie o użyteczności fonografu, niż wyznając, że służy on mi codziennie jako stenograf, dyktujący odpowiedź moją na listy i przesyłający memu kopiście do przepisania to, co wysłuchał? Potrzeba tu tylko człowieka umiejącego pisać. Co czynię codziennie, mógłby każdy czynić z łatwością, jakąkolwiek byłaby jego narodowość.

Można więc twierdzić, nie lękając się zaprzeczenia, że jakkolwiek fonograf przedstawia może okres młodości, wymagającej jeszcze udoskonalenia geniuszem swego twórcy, to jednak już dziś jest przyrządem praktycznym, mogącym oddać każdemu wielkie usługi.

Edison urządził już wielką pracownię do fonografów. Może ich wyrabiać dziennie dwieście; setki robotników zajmuje on pracą i można spodziewać się, że w niedługim czasie zaopatrzy rynki handlowe w tysiące tych przyrządów.

Każde słowo będzie za słabem dla wyrażenia podziwu, jaki wzbudza to cudowne, nieporównane narzędzie.

Fonograf składa się*) głównie z cylindra obrotowego, do którego przystaje walec wydrążony, złożony z pewnej kompozycyi, podobnej z pozoru do wosku. Na tym to walcu poruszanym przez przyrząd elektro-motorowy wielce dokładny, wypisuje ruchy pióro rylcowe.

Drgnienia głosu wprawiają w ruch błonę, która porusza tym rylcem i w tejże chwili wibracye jego zaznaczane są na wosku. Gdy wibracya głosowa została wypisaną, jeżeli przeprowadzimy rylec przez też same punkty, chwianie się jego wprawi w ruch wibracyjny błonę, a wibracya jej udzieli się wówczas powietrzu zewnętrznemu, wytwarzając głos całkiem identyczny z głosem pierwotnym.

I tak wibracya *a* przesłana błonie, wytwarza ruch *b* w rylcu, który wypisuje się pod postacią pisma *c*. To pismo *c*, gdy rylec przechodzi przez tenże sam punkt, sprowadza ruch *b* całkiem identyczny z ruchem *b* i wytwarza wibracyę *a* w błonie. Ta wibracya *a* wywołuje fale głosowe identyczne z wysłanemi, to jest z wibracyą pierwotną *a*; przyrząd błony z rylcem poruszanym jest przez tenże sam motor elektryczny i porusza się on przed walcem ruchomym w ten sposób, że linia wypisana jest spiralną bez końca.

Godnem jest zaznaczenia, że manipulacya z przyrządem tak delikatnym i szybkim jest łatwą. Dość przystawić w swem miejscu walec woskowy, zniżyć rylec przydany do błony, wprawić w bieg stos elektryczny, poruszający walcem — i rzecz skończona.

Dźwięki przesyłane przez fonograf mogą być zebrane w długich rurach przewodników kauczukowych, do których przykłada się ucho. Wszelako skutek jest o wiele więcej zdumiewającym, gdy dźwięki te zbiera rożek, amplikator. Wtedy możemy doskonale słyszeć każde słowo. Najliczniejsze towarzystwo może podziwiać to niepojęte z pozoru zjawisko reprodukcyi głosu ludzkiego lub odtwarzania jakiegokolwiek dźwięku.

*) *Journal of the Anthropological Institute.* 1888.

*) Opis tego przyrządu w postaci pierwotnej podaliśmy zeszłego roku. *Red.*

Rezultat przechodzi wszelkie oczekiwania. Głos jego, cieniowanie, przerwy, akcent, modulacye, wszystko to jest najdoskonalej odtworzonem. Więcej jeszcze zdumiewa, gdy fonograf odtwarza muzykę orkiestry. Słyszymy wówczas trąby, trąbony, oboje, flety, bębny, skrzypce. W istocie jest to niemniej cudownem, jak fotografia.

Tak tedy człowiek geniuszem swym zdołał pochwycić to, co zdawało się nieujętem: *światło i dźwięk*. Drgania świetlne i dźwięczne przepływające przestrzeń nie mogą nam niknąć; mamy dziś środek zatrzymania ich w przepływie i uwiecznienia, aby je następnie, gdy zechcemy, odtworzyć. Możemy, jednem słowem, zebrać kolekcyę, nie jak w naszej słabej pamięci, tego wszystkiego, cośmy widzieli i słyszeli.

Fotografowanie w nocy za pośrednictwem światła magnezyowego. Paweł Nadar zużytkował światło magnezyowe do fotografowania podczas nocy.

Mieszaninę do tej operacyi przyrządził Blain; składa się ona z 3 gramów magnezyum sproszkowanego, z 3 gramów chloranu potażu i z 1 gramu proszku bawełny zazotowanej. Mieszaninę magnezyum z chloranem, posypuje się bawełnę zazotowaną poczem preparat pomieszcza się na talerzyku z reflektorem blaszanym. Zapalnik z drutu platynowego i jeden element stosu z dwuchromianu potażu, dostateczne są do zapalenia mieszaniny, przy blasku której zdejmuje się fotografia.

Ołówki do rysowania na szkle, porcelanie i metalach. Od pewnego czasu wyrabiane są ołówki nowego rodzaju, służące do pisania lub rysowania w barwie białej, czerwonej lub błękitnej na szkle, percelanie i metalach. Ołówki te fabrykują się z mieszaniny 4 części tranu wielorybiego, 3 cz. łoju i 2 cz. wosku. Do tej mieszaniny dodają, odpowiednio do barwy, jaką chcą otrzymać, 6 części minii (czerwonego tlenku ołowiu), 6 cz. węglanu ołowiu, lub 6 cz. błękitu pruskiego (cyanku żelaza). Masa tak przygotowana sprzedaje się w handlu w postaci laseczek.

Nowe ołówki znajdą liczne zastosowania. Dodać winniśmy, że pismo i rysunki nimi kreślone mogą być z łatwością ścierane.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Włodzimierz Zagórski: *Nowele*. Warszawa, 1889.

Powódź, wywołana nieustającym deszczem tak zwanych nowelek, zabagnia coraz więcej nizinę naszej beletrystyki, tak, że dziś już niepodobna jest natrafić stopą na suche miejsce, ani wyminąć błotnistych kałuży, i na każdym kroku zagraża utonięcie w jamie głupstwa. Nasz sąd krytyczny jest tak przygnębiony i znękany lejącymi mu się na głowę potokami bezmyślności i niedołęztwa pisarskiego, że nie znajduje sił do zadęcia w wielką trąbę, której głos zwaliłby jerychońskie mury, osłaniające byt nowelki, niekiedy tylko z piszczałki rozsądku dobywa jękliwą skargę, słaby protest lub cichy głos wzywający do upamiętania literackich spekulantów. Ci jednak mają swoją giełdę, która zachęca i popiera ich mniej lub więcej ryzykowne przedsięwzięcia i na której korzystne dla nich kursy waluty nowelistycznej utrzymuje własna nasza niewybredność w strawie literackiej. Jak ludzie chorzy lub niezmiernie czemś znękani i zmęczeni, przyjmujemy z wdzięcznością wszystko, co myśl naszą usypia a uczuć nie budzi; godzinami całemi możemy przyglądać się kolorowym skrawkom uczuć takich, o jakich nie wiemy, czy istnieją, lub delikatnej i niklej przędzy obrazów, rozpostartej na fali uperfumowanego wietrzyka. Gdybyśmy choć wymagali, żeby przędza ta utkana była na warsztacie talentu!

Talent udzielił nowelce prawa do bytu zgoła niezależnie od chorobliwych zapotrzebowań naszych umysłów i pobłażliwości sądu krytycznego. W niej dość często streszcza się przewaga umysłowego dobytku, będącego własnością pisarza, nad temi jej częściami, które w kołach powieściowych zamknięte zostały. Po wykrajaniu kół tych zostaje jeszcze wiele cennych skrawków. Niszczyć ich niepodobna, gdyż wtedy skazalibyśmy na zagładę znaczną część obserwacyj życiowych, których obfitość przekracza ramę powieści, a dalej — całe galerye obrazów, niekiedy ulotnych, ale zawsze godnych widzenia nawet w osobnej ramce, skarby okruszyn uczucia, ułowionych w fali życia i tak drobnych, że dla skupienia na nich uwagi należy je również w osobnych ramkach uwydatnić, wreszcie złote pasemka myśli, które obydwoma końcami wiszą u całokształtu idej, uzmysłowionych w wielu utworach powieściowych jednego pisarza. Za przykład niech służą nowele Orzeszkowej.

Nowelka inną jeszcze drogą na świat przychodzi. Oto pamiętać należy, że powieść nie przybywa na zawołanie talentu i zanim w umyśle pisarza oblecze się w pewien kształt zmysłowy istnieje przed tem w życiu. Tutaj należy odgadnąć ją lub napotkać oko w oko tak, by niepodobna było jej ominąć. Z wszelką pewnością powiedzieć można, że niema jej tam, gdzie między zwężonymi brzegami życie ludzkie ścieka w drobnych kroplach i nikłej pianie, a natomiast, że przebywa w mnogiej liczbie tam, gdzie rozpęd fali rwie brzegi i zdobywa tor najszerszy. Autor zaś sam jest skorupką myśli, którą unosi strumień życia i prócz własnych jego usiłowań jeszcze wypadek stanowi o tem, w jakiem miejscu skorupka ta się zatrzymuje, wązkiem czy szerokiem. Przytem dla otrzymania powieści nie dość jest obserwować zamiast ściekających kropli bieg potężnej fali, która tych kropel zawiera miliony, lecz należy umieć, módz i chcieć podnieść się nad łożyskiem wód tak wysoko, by dojrzeć rozległą ich przestrzeń, zamkniętą szerokim widnokręgiem i odnaleźć ten właśnie punkt, z którego krąg widziany byłby w całości, oświetlony myślą autora. Znaczy to, że w skutku ułożenia się warunków życia, czy w skutku właściwości umysłu pisarza, skłonności jego do analizy lub syntezy, czy zależnie od narzędzi talentu, więcej stosownych do szlifowania drobnych cacek, niż do spajania rozbitych bryłek w wielkie i piękne całości— powieść zostaje dla pisarza niepochwytną niekiedy nazawsze, niekiedy w wyjątkowych okresach życia, a wtedy nowelka staje się usprawiedliwionym wyrazem dla jego obserwacyj, obrazów, zebranych uczuć i rozsnutych myśli. Takie wyrazy brzmią bardzo ładnie w ustach Boccacia, zarówno jak Guy de Maupassanta i naszego Prusa.

Z pod pióra takich nawet pisarzów wychodzące nowelki wyłamują się z pod zasad architektoniki powieściowej, zrzec się muszą długiego, logicznie snutego wątku, głębszej analizy psychologicznej, wszechstronnego oświetlenia wybranych przez autora zjawisk życiowych przez zestawienie ich z im podobnemi lub z niemi kontrastującemi, i nie rzucają długiego promienia myśli na szerokie koła życia, lecz przynajmniej usiłują wynagrodzić konieczne swe wady dwiema zaletami: bogactwem treści, nietylko szczelnie wypełniającej malutkie dla niej wybrane korytko, lecz przelewającej się za jego brzegi, i powabem formy, przyswojonym wyłącznie tego rodzaju utworom. Daremnie byśmy szukali tych cech odkupiających we współczesnej nowelistyce naszej, o ile jej utwory nie są podpisane jednem z dobrze znanych i złotemi zgłoskami ułożonych nazwisk. Nowela udzielająca rozgrzeszenia od poważnych i sumiennych obserwacyj życia, od nużącej i trudnej analizy, od kojarzenia objawów życiowych, oddawania ich pod tłocznię pewnych ideałów i oświetlania ich myślą — nowela, jak raj bezpłatnych uciech, nęci niedojrzałe umysły i talenty nieotrząśnięte z jajowej skorupy. Czy potrzeba mówić, jak szkodliwymi są te niewczesne wybryki dla piskląt, które powołane do życia w inkubatorach *Kuryerów* nigdy na porządne kury nie wyrosną. Laurowych listków, których im nie skąpi niewybredny współczesny ogół, daremnie szukać będziemy w zielniku naszych wnuków.

P. W. Zagórski, posiadając talent i przeszłość literacką, w której trafiają się kartki warte przeczytania, nie powinienby zazdrościć niemowlętom literatury laurów tyle wartych, co te, któremi ozdabiamy czoła *cudownych dzieci*. A jednak jako *corpus delicti* trzymam w ręku *Nowele* podpisane tem samem nazwiskiem, które widziałem u spodu *Pieśni Salomona*. Jaki chochlik złośliwy podszepnął p. Zagórskiemu „Iwasia“ lub „Zero?“ Obie te nowelki powinny być własnością którego z noworodków, wylęgniętych w *Kuryerkach*.

Z trzech nowelek najlepszą jest „Ze studenckich czasów.“ Zostawia ona nieszkodliwe wrażenie, które łatwo jest uzmysłowić. Wyobraźmy sobie, że w ciepły, pogodny dzień wsadzono nas do wózka, który toczy się po gładkiej i miękkiej łące, a toczy się tak dziwnie, że widzimy ciągle jedną i tę samą wierzbę, która cicho, sennie i łagodnie szeleści swemi liśćmi. Nowelka postawiona jest na słupku jednego tylko zdarzenia, ono to więc jest wierzbą, którą, jadąc wózkiem talentu, oglądać musimy na przestrzeni 87 str. Przyczyna tej nierównowagi między okruszyną treści i ogromem przestrzeni, na której ją rozwałkowano, jest nader prosta. Noweliści nasi posiadają cały skarbiec wydarzeń ciekawych, zabawnych lub strasznych, skarbiec zamknięty dla wydarzeń prawdziwych i zwykłych, które tem samem ani ciekawemi, ani zabawnemi być nie mogą. Nader wygodną jest taka ogniotrwała szafka, w której systematycznie poukładane i zaopatrzone etykietami spoczywają pomysły do nowelek. Ale to jest bardzo niewygodne, że wyjmując ze swej szafki jakieś wydarzenie, zdumiewająco ciekawe, zabawne lub straszne i przenosząc je do nowelki, należy je bądź co bądź uzasadnić, to znaczy nagromadzić taką masę rozmaitych okoliczności i tak umiejętnie je pokombinować, żeby umysł czytelnika skłonny był do uwierzenia, iż opowiadane mu bajki są rzetelną prawdą. Te to uzasadnienie ciekawych wydarzeń wydyma nadmiernie pęcherz nowelki.

Upewniony przez p. Zagórskiego i ja skłonny jestem wierzyć, że razu jednego jakiś szlachecki dzieciak, oburzony niesprawiedliwością losu, prześladującego młodą żydówkę, wykradł ją z żydowskiej oberży, i ukrywszy dziewczynę w bryczce pod fartuchem, bez wiedzy furmana, powiózł ją do domu swych rodziców. Tam, za zgodą kościoła, ta, podobno bardzo ładna kobieta (zbyt późno przyszła na świat, by Salomon mógł na jej widok nową *Pieśń nad pieśniami* napisać) poślubiła jakiegoś katolika. Nic szkodliwego w tej anegdotce niema i daj Boże, żeby szlachta jak najwięcej sprytnych dzieci rodziła, lecz to mnie dziwi, że w tem opowiadaniu, żywcem poczerpniętem z ust jakiegoś, rozweselonego winem i kominkowym ogniem szlachcica, błąkają się ładne, z natury skopiowane ułamki obrazów i słyszeć się daje kilka podsłuchanych a bardzo dobrze powtórzonych dyalogów.

Niestety i tego nie znajduję w „Iwasiu“ a tem mniej w „Zerze.“ Pierwszy jest jednem z widm, jakie trapią naszych nowelistów i nowelistki, gdy wyobraźnia ich zagalopuje się na błonia ludowego życia. Czego ci ludzie wtedy nie wymyślą, uciesz eni, że chłop im kłamstwa nie zada! Lecz

czy tak już opustoszała szafka pomysłów, iż na półkach jej nic ciekawszego od namiętnej i zbrodniczej kowalki p. Z. nie znalazł? Wątek tej nowelki jest opowiadany. Nie jest on łańcuchem wydarzeń, lecz tasiemką, na której w punktach zwrotnych autor zawiązuje węzełki z wydarzeń nader błahych.

A jego „Zero“ jest raczej wielkością ujemną. Król Salomon źdźbła sensu nie znalazłby w tej „zagadce psychologicznej“ i zdziwiłby się niezmiernie, znajdując w polskiej powiastce całe stronice zapisane bez żadnej racyi frazesami angielskimi i włoskimi. I to pomysł!

Y.

Z NIEMIEC.

8 czerwca.

Viehoffa „Poetik auf Grund der Erfahrungsseelenlehre“ i Bulthaupta „Dramaturgie der Klassiker.“ — E. H. Schmidta „H. Ibsen als psychologischer Sophist.“ — Schmidta-Cabanisa parodya nowego dramatu Ibsena. — Najnowsza powieść L. K. Roseggera „Jakob der Letzte. — „Die Falzgräfiin,“ powieść na tle stosunków polskich Pawła Szczepańskiego.

Poetyka Wilhelma Scherera, w której estetyka niemiecka, zrywając z tradycyami Hegla i Vischera, opuściła drogę dedukcyi metafizycznej i za przykładem nauk ścisłych po raz pierwszy pokusiła się o zdobycie prawideł twórczości drogą indukcyjną, pobudziła w Niemczech całe grono estetyków i historyków literatury do współzawodnictwa na tej drodze. Świeżo zanotować możemy pojawienie się dwu prac większych z tej dziedziny i kierunku, który z czasem zrodzi niezawodnie nową poetykę. Nie bez zajęcia poznaje czytelnik w książce Henryka Viehoffa, *Poetyka na podstawie psychologii empirycznej*, że autor przebywał różne fazy, zanim doszedł do obecnego stanowiska. W pierwszej części swego dzieła, napisanej jeszcze przed kilku dziesiątkami lat, według dawnej mody szuka jeszcze subtelnych określeń „prawdy piękna i dobra,“ aczkolwiek i tu większy już nacisk kładzie na pierwiastek psychologiczny, aniżeli na metafizyczny. Nader pouczającym jest rozdział zatytułowany: „Prawidła estetyczne i środki sztuki,“ w którym bogata wiedza autora pogłębia jego cenne rozbiory psychologiczne. Ma to być naprzód poetyka praktyczna, rozbierająca efekty poetyczne na podstawie licznych przykładów. Wielokrotnie autor powołuje się na znaną pracę Jana Pawła „Vorschule der Aesthetik.“ Brak atoli Viehoffowi zmysłu krytycznego, któryby zarówno gatunki utworów, jak środki poetyckie objaśniał na podstawie umysłowości i całokształtu stosunków danej epoki, czem się zaleca metoda Scherera.

Tenże brak zarzucić można książce Henryka Bulthaupta, która pod tytułem „Dramaturgia klasyków,“ w dwóch tomach rozbiera utwory Lessinga, Goethego, Schillera, Kleista i Shakespeare'a. Snać autor nie zawładnął materyałem historyczno - krytycznym, dlatego zupełnie nim się nie posługuje, co nie wychodzi na dobre naukowym jego intencyom. Zgóry zaznacza, iż nie dąży do ustanowienia kodeksu reguł dramatycznych; pragnie tylko poznać kompozycyę i technikę najcelniejszych utworów. Prawidła estetyczne nie są niezmienne, jak prawa przyrody; owszem, zmieniły się one w toku dziejów i w różnych grupach ludzkości. Dlatego Bulthaupt bynajmniej nie bada, czem jest piękno samo w sobie, lub jak zbudowanym być ma dramat normalny: celem jego jest zebranie materyału dla estetyki dramatu germańskiego. Książka jego odpowiada zupełnie potrzebom nowoczesnego czytelnika, badając utwory klasyków niemieckich i Shakespeare'a z nowych punktów widzenia, wspólnych dziś umysłom wykształconym, na podstawie teoryi rozwoju.

Niemcy, którzy tak chętnie nazywają się „germanami“ i z tego tytułu Shakespeare'a zaliczają do „swoich,“ zabrali się teraz gorliwie do adoptowania Ibsena, którym więcej zajmują się dziś, niż jego rodacy. Wiadomo, że powstała w Berlinie myśl założenia „wolnego teatru“ o barwie norweskiej; istnieje tam „gmina Ibsenowska,“ a codziennie pojawiają się artykuły i broszury, broniące tego pisarza lub występujące przeciw niemu. Najlepszą o nim w czasach ostatnich jest rozprawa E. H. Schmidta „Henryk Ibsen jako sofista psychologiczny.“ Autor dochodzi do rezultatu, że Ibsen dziś nie jest już artystą, lecz sofistą tendencyjnym, fałszującym psychologię w imię prawdy (? *Red.*). Najbardziej zwraca się krytyk przeciw utworowi „Brand,“ którego bohater nie jest, jak sądzi publiczność, „ein Wahrheits-Mark- und Kraftmensch,“ lecz człowiekiem upartym, rzucającym frazesami. Rozbiera też Schmidt dramaty „Norę,“ „Peer Grynt,“ „Rosmersholm,“ „Duchy,“ „Cesarz i Galilejczyk,“ „Kobieta z nad morza“ i zarzuca Ibsenowi, że ile razy opuszcza „grunt zdrowej świadomości“ i przechodzi na pole psychiatryi, przedstawia niemożebności i sprzeczności wewnętrzne, zamiast charakterów prawdziwych. Nie to, co prawdziwe, wielkie, proste, jest programem Ibsena, lecz to, co „najdziwniejsze.“ W końcu krytyk powiada: „Wielkim celem, do którego dąży nasz czas, zapewne nie jest miękki, afektowany, nieurodzajny klasycyzm epigonów; ale nie jest nim też ograniczone, nieorganiczne i puste „Kraft-Germanenthum,“ pozbawione związku z ruchem kulturalnym ludzkości, oszałamiające się orgiami „prawdziwości,“ a głoszące z zaciekłością swą siłę i prawdziwość dlatego tylko, iż brak mu wewnętrznej prawdziwości i dojrzałej, harmonijnej siły.“

Na innej drodze znany humorysta berliński, Schmidt-Cabanis, utorować chce drogę krytycznemu poglądowi na utwory Ibsena. Jego parodya „Kobiety z nad morza“ jest najlepszą, jaka pojawiła się w Niemczech po znakomitej Vischerowskiej trzeciej części „Fausta.“ „Die Frau vom Meere“ zwie się „Die Frau von Mehreren“; jest to „ein Urschauspiel“ psychiatryczno-atawistyczno - bigamistyczno- metafizyczno-morskie dla nieuleczalnych.

Z niemałem zajęciem przegląda czytelnik polski najnowszą powieść znanego poety P. K. Roseggera, którego utwory osnute są na tle życia ludu styryjskiego. „Jakób ostatni, historya chłopska z dni naszych,“ utwór, który przez krytykę uznany został jako najdojrzalsze dzieło Roseggera — to *Placówka* Prusa, umiejscowiona i zmieniona odpowiednio do swego gruntu. Autor wyszedł sam z pod strzechy wieśniaczej, jest on synem gór styryjskich; dlatego książka ta, przedstawiająca upadek stanu wieśniaczego, zdaje się być pisana krwią serdeczną. Jej myśl przewodnia nie dorównywa idei *Placówki* co do rozległości i doniosłości; jednak uderzającem jest podobieństwo założenia i zrozumiałem zajęcie autora dla sprawy upadającej własności chłopskiej. *Jakób* zwraca się przeciwko panom, którzy wykupują drobne posiadłości chłopskie i przemieniają je na lasy dla odbywania łowów. Agent bogatego pana obrabia w tym celu wieśniaków; wabi on ich gotówką, którą pokazuje w formie nowych tysiączek, niewidzianych jeszcze w Altenmoor. Jeden wieśniak po drugim sprzedaje swój grunt, każdy powołuje się wobec sąsiadów na inne względy, czyniące mu sprzedaż pożądaną. A kiedy wreszcie bogaty „Grossbauer“ Goldeisner zbywa swą posiadłość, przenosząc się w inną okolicę, wszyscy niemal opuszczają Altmoos i szukają szczęścia na obczyźnie. Kilku tylko zostało; między nimi Jakób Steinreiter, zwany Resithoferem, chłop słynący z uczciwości. On to odradzał wszystkim zbywania ziemi; sam pozostać chce na miejscu, gdzie pomarli jego ojcowie. Ci pozostali w uciążliwych żyją warunkach, sąsiadując z bogaczem, który nie dopuszcza wody na ich grunta, zabrania im wstępu do swego lasu, zabija ich bydło, skoro przekroczyło miedzę graniczną a sam pustoszy pola ich i ogrody, spędzając na nie dziczyznę podczas łowów. W procesach zawsze zwycięża magnat, upadają chłopi. Wreszcie niebawem opuszczają wieś rzemieślnicy i parobcy, zostaje tylko Jakób z rodziną. Najstarszy syn uciekł chłopięciem, uważają go za zmarłego. Drugiego syna biorą do wojska; ginie on na wojnie. Córka wraz z mężem opuszcza wieś rodzinną, gdyż mąż nie mógł już ostać się wobec ciągłych zaczepek leśniczych pańskich. I tak w końcu pozostał Jakób sam jeden, jako ostatni chłop w Altmoos. Głód zmusza go najpierw do tego, iż poluje w cudzej kniei; już los jego ma się zmienić, gdyż znalazł się najstarszy syn, który żyje w Oregonie, gdzie założono wioskę Neu-Altmoos; Jakób ma zamiar sprowadzić syna do wsi rodzinnej. Lecz zetknąwszy się z leśniczym, który chciał go schwytać za kradzież zwierzyny, zabija go, a następnie umiera z własnej ręki.

Z tą osnową, która bohatera popycha do upadku, tragiczną podobnie jak wątek poprzedniego utworu Roseggera „Der Gottsucher,“ łączy się mnóstwo szczegółów po części również tragicznej natury, po części humorystycznych, odzwierciedlających wybornie życie wieśniaków styryjskich. Siła twórcza autora, który napisał już potężny szereg powieści z życia wieśniaków, zdaje się być niewyczerpaną. Jest on zawsze świeżym i oryginalnym. Miłość Floryana i Angerli opisana z prostotą i świeżością pióra młodzieńczego. Nie wpadając w sentymentalność, Rosegger jednak przedstawiać umie uczucia głębokie i sceny rzewne. Mistrzowskim jest opis tęsknoty Friedla, który ucieka z wojska, by ujrzyć swe góry rodzinne; dorównywa mu opis śmierci Maryi, która czekała na przejazd cesarza z prośbą o uwolnienie syna z wojska, w decydującej chwili zaś, odepchnięta przemocą, ginie na porażenie serca wskutek gorąca i rozdrażnienia. Wybornie przedstawione procesy chłopów i wybór magnata do Rady państwa. Podczas gdy kandydat uroczyście i z przekonaniem mówi o „ludzie twardej dłoni,“ jelenie tratują pola chłopów w Altmoos.

Powieść ta jest tendencyjną. Mimo to, mimo znanego twierdzenia, że wybitna tendencya znosi charakter dzieła sztuki, utwór ten jest artystycznie wykonanym i stanowi nowy dowód, iż przepisy estetyczno-literackie dopóty tylko mają znaczenie prawideł nieprzekraczalnych, póki talent oryginalny nie stworzy dzieła sztuki na przekór im a gwoli własnemu usposobieniu. Tendencyjności nie należy zresztą u Roseggera utożsamiać z romantycznością. Jest on na wskroś realistą, lecz obok stron smutnych i ujemnych, które naturaliści obrali jako wyłączny przedmiot swych studyów, uznaje rzeczywistość popędów dobrych. W autobiografii złożył on wyznanie swej wiary literackiej. „Nie wszystko, co jest prawdziwem, wydaje mi się być godnem pióra poety; lecz wszystko, co poeta pisze, winno być prawdziwem. A potem, powinien też dodać coś, co jedna i wznosi; bo jeżeli sztuka nie jest piękniejszą, aniżeli życie, w takim razie niema celu.“ Tak więc poeta powinien „przeciągać bruzdy przez serca ludzkie, tak, iżby wzniósł się z nich zapach ziemny, lecz potem wkładać w nie nasiona, aby zazieleniły się znowu i urodzajnemi się stały.“

Bardziej jeszcze, aniżeli idea *Placówki* przeprowadzona przez autora niemieckiego, zajmie czytelnika polskiego powieść Pa-

wła Szczepańskiego, która pojawiła się niedawno pod tytułem „Die Falzgräfin“. Nadmieniamy, że i tu walka o ziemię rodzinną stanowi jedną z osi, aczkolwiek autor przeprowadza ją inaczej, aniżeli Prus i Rosegger. Że p. Szczepański jest polakiem, to wypływa nietylko z nawiska jego, ale i z tej okoliczności, że osoby występujące w jego powieści są polakami, a i akcya po części odbywa się w Poznańskiem; główna część jej atoli przypada na Berlin, to też autor nazwał swą pracę „powieścią berlińską.“ Należy ona do gatunku nazwanego przez Spielhagena „Ichroman,“ tj. występuje osoba, przedstawiająca rzecz całą jako zdarzenie wplecione do jej życia. Opowiadającym jest tu niejaki Kozierowski, współredaktor dziennika berlińskiego; główne postacie jednak nalczą do stanu robotniczego. „Die Falzgräfin,“ to młoda, piękna polka, którą na prośbę narzeczonego jej, Taszewskiego, zecera, przyjęto w drukarni dziennika do składania numerów (falcowania). Młoda dziewczyna zrazu kocha narzeczonego; lecz Taszewski zbyt jest bierną naturą, by trwały mógł wywierać wpływ na ukochaną dziewczynę. Młody, próżny kompozytor, Wiere-Warnsdorf, postać znakomicie przez Szczepańskiego nakreślona, odkrywa ową falcerkę i kształci ją w śpiewie; ma ona stworzyć postać główną w nowej jego operetce a w braku istotnych uzdolnień, porwać publiczność wygórowanym naturalizmem. Plan udaje się istotnie, i nagle falcerka zamieniła się na *diwę*. Wówczas dopiero Taszewski poznaje, że rozwarła się głęboka przepaść między nim a narzeczoną. Chciałby zakazać jej dalsze ze sceną związki, lecz za późno na to się zdobył; narzeczona jego została już damą wielkiego świata, zbierającą hołdy rozliczne. Rozchodzą się, nie zrywając z sobą formalnie. On umiera w szpitalu; ona, doczekawszy się rozbicia sztucznie stworzonej swej sławy, wychodzi za hrabiego austryackiego, u którego boku nie znajduje szczęścia.

Obok streszczonej tu osnowy, poznajemy losy opowiadającego ją — redaktora Kozierowskiego. Potomek zubożałej rodziny szlacheckiej, zmuszony był sprzedać rodzinną wioskę niemcom. Nowi właściciele zaniedbaną wioszczynę przemienili na piękną posiadłość, uprawianą starannie. Pełen nienawiści ku nowym dziedzicom, Kozierowski jednak ulega razu pewnego tęsknocie za stronami rodzinnemi i zwiedza je. Tam poznaje naprzód u grobu ojca Annę, córkę nowego dziedzica, następnie zaś przypadkowo i mimo woli, zapoznaje się z Szulcem, jej ojcem. Ten okazuje się uczciwym i życzliwym dla polaków, szczególnie zaś dla Kozierowskiego, zezwalając na ślub jego z nadobną Anną. Tak więc p. Szczepański kończy hymnem zgody, który wobec polityki Bismarkowskiej dziwnym jest w ustach polaka. Zakończenie to sielankowo-pokojowe zgadzać się zapewne będzie z kierunkiem samego autora, który w losie Kozierowskiego przedstawił zapewne potrosze własne dzieje. Aczkolwiek niejasnem jest dla publiczności polskiej, dlaczego p. Szczepański pisuje w języku niemieckim, nikt nie odmówi mu talentu i pewnego zdrowego zmysłu dla stosunków realnych. Zna naturę ludzką i w charakterystyce zachowuje miarę. Nawet styl płynniejszym jest i lepszym, aniżeli u niejednego z bardziej znanych autorów niemieckich.

Ładawa.

„SALON.“

Paryż, 17 maja.

Plon sztuki francuskiej wschodzi obecnie, rośnie i dojrzewa tak bujnie, że pomimo wystawy na polu Marsowem, w skromnym Pałacu przemysłowym b. wystawy 1867 r., przedstawia zbiór obfity. Na wielkiej wystawie zebrano najpiękniejszy kwiat francuskiej a w części i obcej twórczości artystycznej za lat sto i ostatni dziesiątek; na małej — tylko żniwa ostatniego roku. Nie mniej jednak katalog Salonu wykazuje 5,055 numerów. I nietylko ilością płócien i rzeźb zaleca się ta wystawa, lecz także ich jakością, a nawet przewyższa w tym względzie wiele popisów poprzednich.

Najogólniejszą cechą charakterystyczną tegorocznego Salonu, zresztą nie jemu tylko właściwą—jest zwycięztwo szkoły „pełnego powietrza“ (*plein-air*) nad konwencyonalnem malarstwem dawniejszem. Nie zwyciężyła zresztą tylko jedna sekta nowatorska; nie, jaskrawe jej znamiona pierwszego protestu i naturalnej w początkach przesady we wprowadzanych zmianach, jak to zwykle bywa po każdym przewrocie dokonanym, zatarły się, złagodniały... pierwiastek natomiast reformatorski przeniknął, jak tchnienie niezwalczone, w części przynajmniej, tych nawet, co pozostali na dawnem stanowisku.

Owo „pełne powietrze“ i dokonana przez nie rewolucya określić się da najkrócej w ten sposób, że postawiono zasadę, iż nie należy malować czego lub kogokolwiek w ciasnem i sztucznem oświetleniu pracowni, albo tak, jak malowali mistrze klasyczni, ale jak się dany przedmiot przedstawia w rzeczywistości. Zasadę tę zwięźlej jeszcze streścić można jako artystyczny, żywy realizm w przeciwstawieniu do idealizmu, szczególniej zaś do idealizmu naśladowczego i rutynicznego. Reforma ta w zakresie dzieł pędzla i dłuta odpowiadała równoległemu zwrotowi w literaturze. Naturalizm i *plein-airyzm* lub impresyonizm są bliźniętami.

Każdy zwrot nowy stanowi zwykle dalszy ciąg poprzedniego, nawet wtedy, gdy jest jego reakcyą i tu więc początków szkoły szukać należy w romantyzmie. Jak Flaubert był jeszcze w połowie dzieckiem romantyzmu, tak i naturalizm malarski datuje się od romantyka Corota, który porzucając konwencyonalny krajobraz, zwany inaczej „pejzażem,“ zaczął naturze patrzeć prosto w oczy. Zmiana uwydatniła się naprzód w dziedzinie krajobrazu, w płótnach wspomnianego już Corota, Milleta, Rousseau, Dupré, Diaza. Później dopiero zaznaczyła się, lecz już wyraźniej, w malarstwie rodzajowem, u Maneta, Moneta, Pissaro, Moreau, Bastien-Lepage'a i dalej u Puvis de Chavannes'a, który wytworzył rodzaj, noszący wybitne piętno jego artystycznej indywidualności, Hennera, Flammenga, Lehrmitte'a itd. itd.

Najpóźniej wkroczył naturalizm w dziedzinę malarstwa... religijnego. Zdawałoby się, że impresyonizm i *plein-airyzm* niema nic do roboty w tym dziale sztuki! A jednak, na malarstwie religijnem, które dawniej bywało całem właściwie malarstwem, odbijały się także różne zwroty i przemiany artystyczne, przynajmniej częściowo a i obecnie jeden z krytyków konserwatywnych we Francyi zaznacza z żywem zadowoleniem pojawienie się w Salonie obecnym impresyonistycznego malarstwa religijnego, które nie istniało w poprzednich. Wskazuje mianowicie na „Madonnę“ Duquan-Bouvereta, artystę, którego inny obraz, „Odpust w Bretanii“ jest najcenniejszą perłą tegorocznego Salonu. Naturalizm jest możliwy, nawet w tematach religijnych, pokazał to już Munkaczy swoim „Chrystusem przed Piłatem,“ który zajmuje właśnie wybitne miejsce w Pałacu sztuki na wystawie, a Wereszczagin swoją „Świętą rodziną...“

Nie odrazu także przedostał się impresyonizm do malarstwa historycznego. Narazie wykluczano je nawet, jak powieść historyczną wyłączono z literatury naturalistycznej, jakże bowiem osobistości i miejsca historyczne można było oglądać w oświetleniu „pełnego powietrza!“ Co jednak zdawało się niemożliwem dla gorących reformatorów pierwszej doby, to okazało się zupełnie możliwem do zastosowania dla ich bezpośrednich następców. Należało tylko ludzi i wypadki dziejowe przedstawiać na podstawie dokładnego poznania rzeczywistości, zarówno współczesnej, jak minionej. W Salonie obecnym jest właśnie „Louis XIV aux Dunes,“ namalowany według tej metody, tak naturalnej i prostej a przecież tak trudnej do przyjęcia dla talentów naśladowczych, którym brak wzorów w tym kierunku.

Ani zresztą dział historyczny, ani tem mniej religijny nie zajmują wydatnego miejsca w Salonie obecnym. Trafiają się natomiast zawsze w nim obrazy, przedstawiające dramatyczne wydarzenia z dziejów lub legend; chodzi tu jednak zazwyczaj głównie nie tyle o historyę, ile o dramatyczność. Dzieje mianowicie średniowieczne, szczególnie religijne i domowe, równie jak starożytność lub Wschód dostarczają zazwyczaj tematów do różnych okropności. Ten ostatni daje również materyał do osobnego działu, reprezentowanego zawsze nader wybitnie w Salonie i który nazywa się *du Nu* — nagość, zawsze młody i świeży kult pięknych kształtów kobiecych w całym ich nagim uroku. Po zatem idą sceny rodzajowe, krajobrazy, bitwy i portrety.

Do historycznego poniekąd malarstwa, lubo zabarwionego jubileuszowym interesem spółczesnym należy wielki obraz Henryka Martina „Fête de la Fédération,“ która odbyła się w początku ery rewolucyjnej na tem samem polu, gdzie dziś rozłożyła się wystawa. Utwór ten zaleca się zarówno kolorytem, wywodzącym się w prostej linii od romantycznego Delacroix, jako dobrym układem.

Osobny rodzaj spółczesnego malarstwa francuskiego stanowią wielkie płótna, freski, przeznaczone dla budujących się gęsto za Rzeczypospolitej gmachów publicznych. Pierwsze miejsce w tym kierunku zajmuje mistrz Puvis de Charannes. W Salonie tegorocznym nie spotykamy się z żadnym jego obrazem, mamy za to wielkie płótno Chatrana, przeznaczone dla nowej Sorbony, w której znajdzie również pomieszczenie „Rollin“ Flamenga, „Albert le Grand“ Lerolle'a, „Claude Bernard“ Lhermitte'a i inne.

Niepodobna nam zresztą w tym krótkim zarysie ogólnym podawać katalogu pięciu tysięcy obrazów. Z bardziej znanych imion wymieniamy: „Bachusa“ Carolusa Duran, z rodzaju *nu*, rzecz nie bardzo udatna, Beniamina Constant „Le four des funérailles“ — pogrzeb w Maroko, „Bal des Ardents“ Rochegrosse, z rodzaju okropności, obraz mniej udatny od poprzednich zdolnego artysty, „Prieré et Martyre“ Hennera, „Toussaint“ Frianta i tyle, tylo innych.

W dziale rzeźb widać także wybitne ślady naturalizmu: „Joanna“ d'Arc Frémirta, „Muzyka“ Falguière'a, „Koniec Atylli“ Lansona i wiele innych.

Z naszych artystów widzimy w Salonie: portrety pędzla Bilińskiej, Krzesa (Edm. Chojecki) Horowitza... biusty Bogdańskiego i Marcinkowskiego, Godebski, Kossowski („Owoc zakazany“). To wszystko—niewiele.

E. P.

TEATR.

Zygmunt Przybylski. *Dwór w Władkowicach*, komedya w 4 aktach.

Przechodzenie ziemi z rąk do rąk, zestawienie ustępujących z nabywającymi, osiadłej od wieków szlachty z dorobkiewiczami, zapładnia coraz częściej wyobraźnię

dramaturgów. Rzeczywistość odbija się na scenie. Złe narowy pierwszych, ich duma, lenistwo, zwyrodnienie fizyczne i umysłowe, oraz praca, energia, dorobek materyalny i moralny drugich, rodzą mnóstwo starć, z których obficie czerpał Feuillet w *Dwóch światach*, Ohnet w *Właścicielu Kuźnic*, u nas Bliziński w *Rozbitkach*, Asnyk w *Braciach Lerche*, ubocznie wreszcie Balucki w *Sąsiadach*.

I *Dwór w Władkowicach* osnuty jest na tle ruiny rodziny Rudowieckich. Z wielkiego majątku pozostał im mały folwark, na którym osiedliła się matka wraz z córką. Syn, ożywiony dobrymi zamiarami, pracuje i nadal w ojczystych Władkowicach... jako rządca u nowego ich właściciela. Te dobre chęci przecież były ogniem słomianym, zniknęły szybko, a miejsce ich zajęło zniechęcenie. W takiej chwili wyrzuca on siostrze gorzkiemi słowy, że nie sprzedała się staremu sąsiadowi, sam zaś postanawia rozkochać w sobie córkę swego chlebodawcy, Bąbeckiego. Był to fabrykant czekolady, człowiek bardzo poczciwy i rozumny, który na związek ów przystał, dodając zarazem, że „u was częstokroć gorzej się żenią, aniżeli z córkami porządnych rzemieślników.“

Oto treść; urozmaica ją mnóstwo epizodów.

Przychodzi tam druga żona Bąbeckiego, macocha Julki, kobieta śmieszna dla swej dumy „pańskiej“ od dnia nabycia majątku ziemskiego. Jest i szlachcic, goniący resztkami, wciąż prawiący o swym klejnocie szlacheckim, a zapominający o uczciwości; jest i jego żona plotkarka. Na drugim planie stoi „głupi, ale zdrów“ subjekt cukierniczy z Warszawy i b. obywatel ziemski, a dzisiaj faktor i pokątny doradca.

Ogólnem znamieniem sztuki jest trzymanie się „złotego środka.“ Niema tam ani pogłębionych charakterów, ani zbyt dramatycznych starć, lecz brak również i scen lub postaci, bardzo komicznych, właściwych farsie. Zrobiło to na mnie wrażenie, jakoby p. Przybylski nie posiadał siły do odmalowania w całej grozie losu podupadłych Rudowieckich. Chciał widzów bawić, a nie smucić. Z drugiej strony i owa zabawa i ów śmiech musiał być ujętym w karby; inaczej sztuka byłaby krotochwilą, a nie komedyą, jak głosi afisz. Ten nieokreślony charakter, to wahanie się ujemnie wpływa na *Dwór w Władkowicach*.

Nadto trzeba zaznaczyć, że autor, nazywany malarzem obyczajów szlacheckich, odtwarza jedynie przeszłość. Dzisiaj szlachta jest już trochę inną. Warto, aby p. Przybylski baczniej badał obecne stosunki; jego następne utwory mogą tylko skorzystać na takiej obserwacyi. Dowodem zaś prawdy słów powyższych jest Julka. Postać to nawskróś nowoczesna, wyposażona energią, zmysłem praktyczności i sprytem. Stanowi ona ozdobę i istotną wartość całej sztuki.

Bardzo zajmującym również jest rozwój i postęp pojęć społecznych, ujawniający się w działalności piśmienniczej p. Przybylskiego. W pierwszych swych utworach występował on jako zacięty zachowawca; dzisiaj, mimowoli może, jego postacie mieszczańskie są o wiele więcej lepsze pod względem moralnym od typów świata staroszlacheckiego. Postęp ten można sobie bardzo łatwo wytłomaczyć. Dopóki p. Przybylski tworzył z książek, oddziaływały na niego wspomnienia młodości, spędzonej w otoczeniu ściśle zachowawczem. Dzisiaj przypatrzył się innym ludziom, dojrzał, począł myśleć samodzielnie, pozbył się więc i pozbywa wielu uprzedzeń, wielu błędów, wielu więzów, zacieśniających swobodę jego pióra.

Zasługa ta należy się Warszawie, mającej wstręt do atmosfery wieków średnich i feudalizmu.

Artyści teatru łódzkiego (w Belle-vue) grali bardzo dobrze. Wyróżniała się szczególnie p. Majdrowiczowa, z przejęciem dźwigając na swych barkach trudną rolę Julki. Z panów zasługują na pochwałę Feldmann i Winkler.

Adam Nowicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Letnie lenistwo panów, o którem nie mają wyobrażenia ich słudzy. — Rozsądne zdziwienie szacha w rozmowie z reporterem. — Poszukiwanie nowej używki. — Kapłan przed sądem. — Ksiądz ojcem. — Towarzystwo osad rolnych a totalizator. — Ile dziennie stracić możemy. — Kartka z dziejów lichwy i jej drożdże. — Wystawa obrazów i szkiców Kostrzewskiego. — Ważny rys jego talentu.

Ależ podczas takich piekielnych skwarów niepodobna nic robić — mówią zrozpaczeni ludzie, którzy nie mogą nic robić— w zimie z powodu balów i rautów, na wiosnę—z powodu rozleniwiającej woni i śpiewu słowików, w jesieni — z powodu koncertów. A brukarz, robotnik kanalizacyjny lub rolny, gromady ludzi pracujących bez żadnej osłony przy 30 stopniach ciepła śmieją się z tej „niemożności“ i nie napełniają od rana do wieczora ogrodu Saskiego. A nawet wszyscy cudzoziemcy, zwiedzający Warszawę, znalazłszy się w tym naszym „letnim salonie,“ są zdumieni obfitością próżniaków, a jak oni sądzą — bogaczów. Belgijczycy, widząc każdego dnia w ogrodzie Saskim tysiące strojnych pań i panów, przerazili się naiwnym domysłem, że Warszawa musi być miastem niezmiernie bogatem, skoro tylu ludzi w niej może spacerować bezczynnie i że wdali się w nie swoje rzeczy, podejmując walkę z takim zastępem milionów. Przypuszczam, że już się obecnie uspokoił p. Lysen (przy pomocy p. Luboradzkiego), że bez trwogi patrzą na *high life* w „letnim salonie“ i widzą w nim tylko zwyczaj narodowy, który t. z. wyższym klasom zaleca przyjemne próżnowanie. Czerń belgijska, holenderska, francuska, niemiecka nie posiada tej kultury, więc pracuje i nie spędza całych dni i miesięcy w swych ogrodach.

Nie pojął jej też należycie szach perski i dlatego nie mógł wcale zrozumieć, co przez 13 dni gromadziło ustawicznie tłumy około niego i jego świty. W rozmowie z reporterem *Kuryera warszawskiego* wyraził nawet zdumienie, że taką bieganiną za nim zajmuje się ktoś zawodowo.

— „Kto pan jesteś?— zapytał sylfa.

— Jestem dziennikarzem...

— Co pan tu porabiasz?

— Gdzie tylko Wasza Królewska Mość wyjeżdża, tam wszędzie się znajduję.

— Cóż w tem tak ciekawego?

— Szach jest niezwykłym gościem w Europie, a więc i w naszem mieście.

Na te słowa monarcha perski roześmiał się i kilkakrotnie powtarzając: „dziennikarz, dziennikarz,“ zapytał o obraz Betoniego.“

Nasr-ed-din jest widocznie człowiekiem rozumnym. Zapomnijmy o próżniactwie i gawrońtwie niższych i wyższych tłumów Warszawy, stańmy na stanowisku człowieka ze zdrowym rozsądkiem, a w żaden sposób nie pojmiemy, „co jest w tem tak ciekawego,“ gdzie się zwróci podróżnik lub jaką drogą przyszła komuś do głowy myśl zająć się tem specyalnie. Ogółem tych sprawozdań napisano kilka grubych tomów — i na co? — spyta szach, jeśli je kiedyś w tłomaczeniu przeczyta. Co on sobie wówczas pomyśli o warszawianach i „dziennikarzach“ — wolę nie zgadywać.

Po jego wyjeździe pisma, które z niego zrobiły proces kukizowski i które muszą zawsze mieć jakiś narkotyk dla swych czytelników, rozglądają się za nową „używką.“ Zdaje się, że chciałyby znowu poczerpnąć zasiłek ze Lwowa. Wkrótce będzie tam sądzony proces niejakiego księdza Stojałowskiego, oskarżonego o rozliczne oszustwa i przeniewierstwa. Ponieważ człowiek, który, nie mając nic, łudzi wierzycieli mniemaną zamożnością, który wydzierżawia jednocześnie dwu stronom grunta, który przywłaszcza sobie cudze pieniądze, słowem, który kradnie i okpiwa, posiada dość zwykłe rysy tego rodzaju przestępców, więc fabrykanci sławnych procesów usiłują mu nadać rozgłos zapomocą wywieszenia na pokaz jego księżej sutanny. „Kapłan przed sądem“ — *cause celebre!* — ale tylko w naszej parafii. Bo na szerszym świecie ludzie widzą księży mordujących, oszukujących, popełniających najrozmaitsze przestępstwa, i wcale nie dziwią się, gdyż dla nich ksiądz jest takim samym człowiekiem, jak inni. Zdumienie wobec jego wad i karygodnych czynów jest naturalnem w prostaczkach wiejskich, którzy mniemają, że osoba duchowna jest osobą świętą. Ale podobna naiwność nie przystoi ludziom ukształconym. Pod tym względem panują u nas pojęcia, dla których właściwym gruntem bywa tylko kultura bardzo pierwotna. Pewien szlachcic chwalił mi raz swego proboszcza:

— A ojciec z niego dobry? — spytałem.

— Kocha swoich parafian bardzo.

— Ale ja nie mówię o parafianach, tylko o dzieciach.

— Czyich?

— No, jego własnych.

— Ach, co też pan wygadujesz, on dzieci nie ma.

— Szkoda, bo taki poczciwy człowiek mieć je powinien. Czy nie połączył się z żadną kobietą?

— Cóż znowu.... bawi u niego oddawna *siostrzenica*, ale...

— Nie rozumiesz mnie pan — odparłem. Muszę panu wyjaśnić naprzód, że te siostrzenice uważam za zjawisko zupełnie naturalne i prawie powszechne, któremu nikt dziwić się nie powinien, a powtóre, szanuję bardzo księdza, który mając dzieci, nie zapisuje ich na cudzy rachunek, nie podrzuca, nie krzywdzi, nie zanurza w błoto brudnych tajemnic, ale kocha, kształci i na uczciwą drogę życia wprowadza, o ile mu jego stanowisko pozwala. Kardynał Antonelli był obłudnym jezuitą, ale czciłem go za to, że nie wyrzekł się swej córki.

Mój znajomy słuchał mnie tak, jak gdybym go przekonywał, że kryminał jest bractwem dobroczynności publicznej. Jeżeli poczciwiec ten czyta sprawozdania z procesu „kaplana przed sądem“ we Lwowie, mówi zapewne:

— Co za szczególny wypadek i jakże smutny!

Wcale nie szczególny, a o tyle smutny, o ile nim jest widok każdego upadłego człowieka.

W chwili gdy Towarzystwo osad rolnych wykazało dziesiątki tysięcy rubli zaległych składek od swych członków, totalizator wyścigów *jednego* dnia miał stawek 10,000 rs. To znaczy, że Warszawa tego dnia mogła tyle stracić. Dodajmy, kilkadziesiąt tysięcy rubli wydanych na Bielany, Saską kępę itd, podczas Zielonych świątek, a wypadnie nam we wniosku, że albo Warszawa mogłaby istotnie, gdyby chciała, kupić sobie na wyłączną własność kolej Warszawsko-Wiedeńską a jej *tout le monde* ma prawo całymi dniami spacerować po ogrodzie Saskim, albo też, że sezamowem słowem, otwierającem skarbiec naszych oszczędności nie jest ani Towarzystwo osad rolnych, ani żadna instytucya społeczna, lecz... Mamże mówić? Czy jest w Warszawie nowonarodzone dziecko, któreby nie umiało odpowie-

dzieć bez namysłu: „na czem zależy szczęście człowieka?“

Z tego naszego pojęcia o szczęściu wytwarzają się drożdże, na których pysznie rosną operacye ludzi „robiących wygodę.“ *Biblioteka warszawska* rozpoczęła druk rozprawy prof. Okolskiego o lichwie. W ramach swych wywodów prawnych autor oprawił piękny portret niejakiego Tenenwurcla, sądzonego przed paru laty za sfałszowanie zobowiązań dłużniczych, przyczem śledztwo wykryło rodowód majątku tego bohatera „pomocy własnej.“ Wziął za żoną tylko 1,000 rs., a wkrótce — 1 lutego 1882 r. posiadał już 166,000, w r. 1883— 199,000 rs., 1884—220,000, 1885—242,000. W odpowiednich skokach zbiegali na dół ci, którzy go wciągali do góry: p. Bobrowski z Piasków Wielkich, który w r. 1881 pożyczył od Tenenwurcla 22,500 rs., był mu w r. 1885 już winien 58,000 rs., pokrył zaś tę sumę majątkiem, wystawionym przez lichwiarza na subhastacyę a wartującym 250,000 rs. Inny obywatel ziemski za 6,000 rs. zapłacił po pięciu latach 30,000 rs.; inny, pożyczywszy 6,000 rs., po roku oddał 10,000 rs. Oto jest źródło naszej zamożności, które nam pozwala być „francuzami północy“ i żyć „z szykiem.“

Wiele z tej francuszczyzny północnej i tego szyku nadrwił Kostrzewski, którego ogólną wystawę obrazów urządzono w hotelu Europejskim. Artysta ten w naszem życiu artystycznem i obyczajowem odegrał niepoślednią rolę. Przypomnijmy sobie czasy przed 20 laty, kiedy humorystyka ołówkowa nie rozrosła się jeszcze u nas tak, jak obecnie, kiedy w niej prawie wyłącznie panował Kostrzewski: cały kraj czytający oglądał jego szkice i cały zanosił się od śmiechu. Nikt po nim i obok niego nie zyskał ani tej sławy, ani tej sympatyi. Ale też miał ten przywilej swoją racyę. Podczas gdy inni mniej lub więcej szczęśliwie kopiowali i naśladowali rysunki francuskie i zaszczepiali sztucznie na gruncie naszym pomysły cudze, Kostrzewski był nawskróś oryginalnym i swojskim. Jego szlachcice, chłopi, żydzi, oficyaliści wiejscy, pisarze gminni, złota młodzież, ulicznicy — nieskończona galerya typów i okazów była odtworzona z życia. Toż samo w obrazach. Można mu było czasem zarzucić słusznie, że się zaniedbał w rysunku, że się powtarzał, że robił zbyt pospiesznie, ale nigdy — że trudnił się przemycaniem cudzego towaru, że kogoś podrabiał. Dotąd rozpoznajemy jego utwory odrazu. Obok talentu wszakże i oryginalności Kostrzewski ma w sobie jeszcze jeden, bardzo wydatny rys, który z naszego stanowiska zasługuje na szczególną pochwałę: pomimo że wcześnie wciągnięto go w świat wielkopaństwa, dostatku i zbytku, pomimo że był nader mile widzianym gościem sfer najmożniejszych, pozostał ciągle przyjacielem maluczkich i ubogich, malarzem padołu społecznego. I w jego wizerunkach chłop się spijał, żonę bił, a swego głodu na ziemi dworskiej nigdy nasycić nie mógł, jak to czyni w rzeczywistości, ale nawet wtedy śmiech Kostrzewskiego perlił się kroplami łez miłości dla ludu. Niemca nienawidził zawsze, żyda wyzyskiwacza smagał ostro, z pustych głów i zgniłych serc pańskich drwił niemiłosiernie, ale chłopa ośmieszał po ojcowsku. Pod tym względem przedstawia on pewne podobieństwo z Prusem, z którym go łączą jeszcze inne cechy wspólne. Rozejrzenie się w całym rozwoju tego wielkiego talentu i bogatej galeryi jego tworów jest tak ciekawem, że chyba nie potrzebujemy namawiać czytelników do zrobienia sobie tej przyjemności.

Poseł Prawdy.

STRASZNA KLĘSKA.

Gazety przynoszą okropne szczegóły wielkiej katastrofy, która spadła na Pensylwanię, a która pochłonęła w ludziach dziesiątki tysięcy ofiar, a w stratach — dziesiątki milionów dolarów.

Podczas ostatnich dni maja nadciągnął gwałtowny, brzemienny deszczem orkan z zachodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych ku wschodowi. Wywołały go gwałtowne wichry południowo-wschodnie, wiejące od morza w kierunku okolic jeziór, przyczem ciepłe, wilgotne powietrze golf-stromu pędzone było ku górom Alleghany. W skutek tego powstały wielkie ulewy i znaczne wezbranie wód w rzekach. Od 1 czerwca nadchodzić zaczęły ze wszystkich stron, z Pensylwanii, Marylandu i innych na południe położonych okolic wieści o zniszczonych zasiewach, domach, telegrafach i kolejach żelaznych. Najstraszliwsza jednakże klęska dotknęła dolinę Conemaugh, na zachodnim stoku gór Alleghany, około 25 kilometrów długą. Przerzynają ją dwie małe rzeczki i łączą się przy dolnym jej krańcu w płytką, ale rwącą rzekę Conemaugh.

Przy wejściu do tej doliny, wysoko w górach znajdował się wielki rezerwoar, czyli jezioro, powiększone znacznie sztucznemi urządzeniami, 7 kilometrów długie 2 szerokie a miejscami 100 stóp głębokie. Dla powstrzymania tej masy wody, zbudowano 1,000 stóp długą, 110 stóp wysoką, u podstawy 90, a przy wierzchu 20 stóp grubą tamę. Jezioro to leżało 300 stóp wyżej niż poziom doliny, w której znajdowało się 8 miast. Pomiędzy niemi na dolnym krańcu doliny leżało Johnstown z 25,000 mieszkańców. Tuż poniżej zlewu dwu rzek stał kamienny most kolei Pensylwańskiej. W dolinie, leżącej o 135 kilometrów na wschód od Pittsburga, znajdowało się wiele fabryk, pomiędzy niemi największe zakłady wyrobu stali w Stanach Zjednoczonych, Cambria Iron Works. Rezerwoar wodny przeznaczony był początkowo do zasilania kanału Pensylwańskiego.

Skoro woda podnosić się zaczęła, tama wzbudzała znaczne obawy; posłano więc ostrzeżenia do Johnstownu, skutkiem czego niektórzy mieszkańcy opuścili miasto. W piątek o godzinie 5 po południu woda przerwała tamę i sprowadziła katastrofę.

Oto opisy jej świadków: Kiedy olbrzymia masa zgruchotanych domów spiętrzyła się przed mostem kolejowym i kiedy w nich wybuchł pożar, przeszło 1,500 ludzi w tych złomach zostało formalnie upieczonych, a napół obłąkani pozostali przy życiu żadnej im nieść nie mogli pomocy. Płynąca masa pokrywała obszar pół akra i gwałtownie uderzyła o most. Setki ludzi wpadły przytem do rzeki i potonęły. Nagle wzniósł się w górę płomień i powstał okrzyk trwogi. Odłamy dachów, ścian itp., zaczęły się palić i płomienie otoczyły niebawem rozpaczliwie wołających o pomoc, pieczonych przy wolnym ogniu ludzi. Wielu z nich w rozpaczy rzuciło się do wody, inni zostali zmiażdżeni lub uduszeni dymem. Pomiędzy szczątkami widziano części wagonów kolejowych i lokomotyw—były to, jak się później okazało, resztki dwóch pociągów kolei Pensylwańskiej, pochwyconych przez fale. Pociągi te stały na bocznym torze, gdy schwycił je potok, któremu nic oprzeć się nie mogło. Zdawało się, jakoby wodospad Niagary wprowadzony został do nowego, węższego koryta. Nikt obliczyć nie zdoła, ilu zginęło ludzi. Brzegi pokryte są trupami; na przestrzeni obejmującej zaledwie 10 akrów, znaleziono ich 75, w tej liczbie tylko 5 mężczyzn, reszta kobiet i dzieci.

W Bolivarze, gdzie kolej Pensylwańska przechodzi przez rzekę Conemaugh, mieszkańcy dla ratowania nieszczęśliwych udali się na most. Z latarniami szukali pozostałych przy życiu, podczas gdy ulewa nie ustawała.

Wzruszające sceny rozgrywały się w blizkości mostu. Młoda kobieta nadpłynęła na dachu, błagając rozpaczliwie stojących na brzegu o ratunek. Silny jakiś ogorzały młodzieniec wszedł w rzekę po szyję i wołał na kobietę, by za pomocą deski sterowała ku brzegowi. Starała się wykonać tę radę, i rzeczywiście zdawało się, że kruchy statek zmienia swój kierunek. Nagle dach rozpadł się pod nią, próbowała dopłynąć do brzegu, lecz zginęła w szalonym wirze; musiała otrzymać jakieś silne uderzenie, bo po chwili wypłynęła blada i spokojna, bez życia. Mężczyźni i kobiety w znaczniejszej liczbie, parami lub pojedynczo. dzieci, chłopcy młodsi i starsi, niemowlęta, wszystko w straszliwem zamieszaniu, tonąc i walcząc o życie, płynęło na falach. Dwóch mężczyzn, siedzących na kruchym promie i spoglądających rozpaczliwie ku brzegom, unosił lotem strzały gwałtowny potok. Pomiędzy nimi klęczało biało ubrane 6 lub 7-letnie dziewczę, ze wzrokiem ku niebu wzniesionym. Dziewczynka zdawała się być sparaliżowana, gdy prom unoszony wodą zbliżył się do stojących przy brzegu ludzi. Było tak blizko, iż widzieć było można łzy spływające po jej policzkach. Mężczyzni z brzegu wołali na nią, by nie traciła odwagi, poczem znów zajęła modlącą postawę. Wkrótce potem zniknęła pod wodą.

Jakiś młody człowiek płynął na części dachu w towarzystwie dwu kobiet. Z górnego mostu rzucono im linę, lecz pochwycić jej nie mogli. Pomiędzy dwoma mostami mężczyzna starszej kobiecie, prawdopodobnie swej matce, objaśniał, w jaki sposób schwycić należy linę, którą rzucano im właśnie z drugiego mostu. W tej chwili zbliżył się ku mostowi kruchy statek. Szlachetny człowiek trzymał w swych dłoniach dwie kobiety. Pod mostem schwycił linę, lecz równocześnie został odłączony od swych towarzyszek, które nie zdołały uczepić się sznura. Wtenczas zeskoczył znów na swój statek, który pędził ku brzegowi. Tutaj udało mu się schwycić za gałąź; wsadził więc kobiety na drzewo, którego się trzymał, podczas gdy nogi spoczywały na cząstce dachu. Gwałtowny wir wyrwał mu jednak z pod nóg tę podporę i teraz zawisł na czas jakiś w powietrzu. Niebawem nadeszła z falą część zniesionego mostu, uderzyła w drzewo i zabrała z sobą wszystko. Wszyscy troje utonęli.

Jakaś matka odrzuciła sposobność ocalenia, bo nie chciała opuścić dwojga swoich dzieci. W płonących szczątkach niektórzy ludzie prosili o noże, aby sobie poobcinać uwięzione członki; podobno niektórzy ocalili się w ten sposób. W katolickim kościele, do którego schroniło się wielu ludzi, wybuchł pożar, i wszyscy, którzy nie wskoczyli do wody, śmierć znaleźli w płomieniach. Dziecko pięciomiesięczne wyratowano z kołyski, i to na rzece Alleghany w odległości 140 kilometrów od Johnstownu. Pomiędzy znalezionemi trupami $1/3$ jest kobiet i dzieci; tłomaczy się to faktem, iż mężczyzni masami zginęli zajęci pracą w fabrykach. Większa część zwłok jest nagich, ponieważ odzienie zdarte zostało przez fale, które tak były gwałtowne, iż pewną liczbę żelazem obładowanych wagonów oraz trzy lokomotywy dźwignęły z sobą i zaniosły o kilkaset kroków dalej.

Pęknięcie rezerwoaru, które spowodowało katastrofę, bynajmniej nie było niespodziewane. Już od roku przeszło uważano tamę za niepewną, a od czasu do czasu przesiąkała nawet przez nią woda. Mieszkańcy zostali ostrzeżeni, i dość mieli czasu do ocalenia, gdyby z niego byli korzystali. W największej jednak liczbie wypadków nie usłuchano przestrogi. Tych, którzy ratowali się ucieczką, uważano za zbyt bojaźliwych.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Język ruski. W uzupełnieniu wiadomości o języku ruskim na kolejach, przecinających granice Królestwa Polskiego, oraz gubernij północno-zachodnich, *Now. Wr.* donosi, iż wszelkie dokumenty, wydawane publiczności, powinny być pisane w języku ruskim, jak również ogłoszenia kolejowe.

Jarmark welniany w Warszawie rozpoczął się.

Kurator okręgu dorpackiego rozesłał do szkół okólnik, w którym ponawia rozporządzenie, ażeby we wszystkich szkołach nauka religii luterańskiej

wykładaną była w tym języku, którym uczniowie mówią w domu.

Przemysł. W Radomiu powstaje przędzalnia i guzikarnia.

— Projekt kasy przemysłowców kaliskich zwrócono dla wprowadzenia pewnych zmian, poczem ministeryum zatwierdzi.

Instytut hydrograficzny będzie założony w Petersburgu dla skupienia wszystkich badań nad wodami całego państwa. Zakład ten będzie podlegał Akademii nauk, zaś na jego utrzymanie ministerya marynarki, komunikacyi i oświaty przeznaczają 150.000 rubli.

Syndykat cukrowniczy. gub. południowo - zachodnich przestał istnieć.

Wystawy. W Petersburgu odbędzie się wkrótce wystawa płodów i produktów turkiestańskich, tudzież rysunków starożytności Azyi środkowej.

— Warszawski korespondent *Now. Wr.* donosi, iż ruska ruchoma wystawa sztuki nie odwiedzi Warszawy, jako mało dającej dochodu, a natomiast urządzoną będzie w Smoleńsku.

Sąd okręgowy miński zatwierdził prawo wejścia ks. Hohenlohe w posiadanie majątków w gub. mińskiej (120 nazw), odziedziczonych po bracie ks. Wittgensteinie.

Akademia umiejętności w Krakowie ogłasza, iż nagrodę drugą imienia Lindego otrzymali: p. S. Ramult ze Lwowa za słownik narzecza kaszubskiego i p. Cienciała ze Szląska za słownik dyalektyczny wyrazów używanych na Szląsku austryackim. Nagrodę z funduszu Hajzmana otrzymał dr. Feliks Skonieczny z Krakowa.

Poradnik gospodarski, tygodnik rolniczy, wychodzić będzie w Poznaniu.

Komisya parlamentu niemieckiego odrzuciła petycyę większych gazet niemieckich, które prosiły o zakaz przedruku własnych depesz i wiadomości telefonicznych.

Kupcy berlińscy projektują założenie towarzystwa, któreby miało na celu rozszerzenie handlu niemieckiego za granicą i wynajdywanie tamże posad dla subjektów niemieckich.

Kontrola została ustanowiona ze strony magistratu warszawskiego nad przedsiębiorcami, prowadzącymi roboty wodociągowe i kanalizacyjne w domach prywatnych. Właściciele domów, którzy zamierzają w posesyach swoich zaprowadzić rury, powinni przed rozpoczęciem robót zawiadomić magistrat, komu mianowicie powierzają, poczem magistrat zaopatrzy przedsiębiorców w odpowiednie bilety, bez których nie wolno robót rozpoczynać.

Egzaminy. Kurator okręgu kijowskiego ogłosił za pozwoleniem ministra oświecenia, że w razie potrzeby do egzaminów na posady wychowawców i nauczycieli języków nowożytnych dopuszczane być mogą osoby, które ukończyły kurs w jakimkolwiek zakładzie.

Żydzi. W Radzie państwa rozpatrywaną była w tych dniach sprawa dozwolenia żydom nabywania posiadłości nieruchomych w kraju Turkiestańskim.

— Na zebraniu gminnem w gminie Goszczanów (gub. kaliska), niektórzy włościanie domagali się, aby usunięto ze wsi żydów i wzbroniono im prowadzić handel.

Szkoły. Do ministeryum oświaty niektóre południowe ziemstwa gubernialne i powiatowe podały prośby o zmniejszenie dla wszystkich szkół liczby godzin wykładowych i zwiększenie okresu wakacyjnego.

Zapomogi. Na wydanie niedrukowanych dotąd dzieł starych pisarzów polskich, oraz wyczerpanych w dawniejszych edycyach, Akademia nauk w Krakowie wyznaczyła 1,000 złr.; na wydawnictwo dzieł naukowych, dostępnych dla ogółu — 1,800 złr.; z tego ostatniego funduszu przeznaczona będzie pewna kwota na geografię handlową Czernego i historyę filozofii greckiej.

Broń. *Graždanin* donosi, że sprawa zmiany uzbrojenia armii i zaopatrzenie jej w karabiny gwintowe mniejszego kalibru, została rozstrzygniętą potwierdzająco. Nowa broń, niezależnie od zwiększenia liczby patronów, będzie się odznaczała wielką dalekonośnią.

W Neapolu odbędzie się 24 b. m. kongres delegatów 800 stowarzyszeń robotniczych i demokratycznych, celem wyboru 250 przedstawicieli na paryski kongres demokracyi francusko-włoskiej.

Nagrody. Ministeryum skarbu wyznaczyło do rozdania wystawcom na wystawie pracy kobiet w Warszawie 13 wielkich medalów srebrnych, 36 małych srebrnych i 56 bronzowych.

Paszporty. Ministeryum spraw wewnętrznych ogłasza, że z mocy rozporządzenia rządu tureckiego, udający się do Turcyi drogą lądową powinni okazać na granicy tureckiej paszporty kraju swego, wizowane w kosulatach tureckich.

Senat wyjaśnił, iż świadomie kupujący rzeczy skradzione mogą być niezależnie od sprawy kradzieży pociągani do wynagrodzenia szkód przez kradzież zrządzonych.

Niższa szkoła rolnicza będzie otwarta z nowym rokiem szkolnym w Krzywym Rogu, pow. chersońskim. Fundusz na ten cel dostarczyła p. Jamczyńska.

Zmarli. Gaston Planté, fizyk francuski.

— Dr. William Wright, słynny oryentalista, profesor języka arabskiego w Cambridge.

— Mathias Firmenick, poeta niemiecki.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Bron. Piotr. w Siniawie. Złota 26.

Panu Kaz. Zakrz. W uniwersytecie genewskim, a zdaje się, że w każdym francuskim.

Panu Wit. Br. w Olg. Że p. Bobrzyński, wydawszy jeden tom swych *Dziejów*, na drugi czekać każe lat kilka — jest niesumiennym, ma Pan słuszność, ale cóż my na to poradzimy.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Ogłoszenia.

— Student uniwersytetu, któremu skradziono 144 rubli cudzych pieniędzy, prosi o pożyczkę dla pokrycia tej sumy.

Wydawnictwa „Prawdy."

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.,** tomów cztery, tłom. K. Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłom K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.** Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

E. Taylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1 k. 50.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

A. Świętochowski. **O powstawaniu praw moralnych** rs. 1 k. 50.

W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko — k. 50.

— **Klemens Boruta**, powieść — k. 40.

— **Niewinni**, dramat w 3 aktach — k. 80, z przesyłką rs. 1.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — rs. 1.

N. Hirszband. **Byron** w urywkach — rs. 1 kop. 20, z przesyłką rs. 1 k. 25.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie), rs. 1, z przes. rs. 1 k. 20.

K. Lewald. **Historya XIX w.** od r. 1800—1888 — rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

Spółka Nakładowa

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 2.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 k. 50.

Gumplowicz S. System socyologii—rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

Kramsztyk Stanisław. O postaci i ciężarze ziemi, str. 93 — k. 60.

Okolski A. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych A. P. — rs. 3, z przesyłką rs. 3 k. 30.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 20.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — k. 60.

Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1 kop. 80.

Biuro i ekspedycya **Spółki Nakładowej**: Warszawa, Złota 23.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie o każdem opuźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Іюня 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.